



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

POGA WĘDKA

Powiadają, że babie lato bywa u nas najprzyjemniejszą ze wszystkich pór roku *nb.*, jeżeli się uda i nie zawiedzie, a „polska jesień“ ma swoją ustaloną opinią.

Otóż należałoby przypuszczać, iż pod względem pogody doczekamy się jeszcze pięknych dni, wyłożonych resztkami letniego słońca, owianych zapachem ostatnich kwiatów, które Flora ze swego rogu obfitości wyrzuci. ozdobionych całą świetną polychromią wędnącej roślinności w naturze.

Szkoda tylko, że to wszystko nastąpić ma wtedy, gdy już z wystawy ogrodniczej wspomnienia tylko pozostaną na Placu Ujazdowskim.

Cały ubiegły tydzień wypełniała nam ta wystawa kwiatów, owoców, roślin, nasion i warzywa, którą Towarzystwo Ogrodnicze rozpoczęło swoją publiczną działalność, świadczącą dobrze o zasobach siły, energii, pomysłowości i o dobrem zrozumieniu celów i środków młodej instytucji.

Gdyby nie słońce, która najniepotrzebniej psuła powodzenie wystawie i powstrzymywała od liczniejszego jej zwiedzania, możnaby powiedzieć, iż sezon letni zakończył się u nas bardzo wdzięcznym i pięknym efektem.

Jakkolwiek w porównaniu z zagranicą ten pierwszy na większe rozmiary popis naszego ogrodnictwa wypadł z konieczności mniej świetnie, to przecież „wedle stawu grobla“, a przyznać trzeba, że grobla ta i tak za wielką była w stosunku do stawu samego.

U nas dopiero w ostatnich czasach, dzięki energicznej inicjatywie młodych i wykształconych kilku ogrodników, sprawa podniesienia, odżywie-

nia tej zaniedbanej gałęzi gospodarstwa, przemysłu i przyrodniczej kultury weszła na porządek dzienny.

Umiano jej zręcznie nadać ruch, uczynić ją popularną; dzięki niezmiernie trudnej i zabiegom szczupłego grona specjalistów powstał i osobny organ, poświęcony ogrodnictwu, zasługujący ze wszech miar na poparcie i uznanie, podniosła się, a raczej na prawdę wytworzyła, hodowla nasion w kraju, zawiązało się Towarzystwo Ogrodnicze, przyszła wreszcie do skutku wystawa, jakiej nie mieliśmy jeszcze w tym rodzaju w Warszawie.

Obszerny plac, zajęty przez kioski i pawilony byłej wystawy przemysłowej, zamieniono w piękny i gustowny ogród, w którym powyrastały, jakby pod zaklęciem czaroksiężkiem, zielone trawniki i klomby, szkółki drzew owocowych, cyprysy, muzy, pomarańcze, cytryny, zakreśliły się wzorzyste z kwiatów esy i floresy, ułożyły całe piramidy jarzyn, wytrysły szmerzące fontanny i zabłysły jak meteory zatrzymane w powietrzu, światła lamp elektrycznych.

W osobnych pawilonach, pozostawionych do użytku wystawców przez właścicieli przemysłowców, roztasowały się całe kolekcje owoców, nasion, roślin wszelakich i kwiatów świeżych.

Najpiękniej i najgustowniej przedstawił się pawilon główny, zamieniony na cieplarnię, w półrodku której wznosiła się studnia, otoczona wonnymi klombami i wspaniałymi okazami roślin; prawie skrzydło pawilonu poświęcono Florze, lewe Pomonie.

Najwięcej miejsca zajęły róże, które były przedstawicielkami kwiatów nielicznych już w tej porze. Ogrodnicy popisowali się też w tym dziale więcej gustem i sztuką wiązania bukietów, wieńców i równianek, aniżeli różnorodnością wyhodowanych okazów.

Prześliczne widzieliśmy tu girlandy, dyademy, wachlarze i bukiety do gorsu z żywych kwiatów, które sprawiały wrażenie najświetniejszych...

szucznych wyrobów w tym rodzaju; oile wszelako przewyższały je świeżością, wonią, pięknoscią barw i kształtów, o tyle też stosunkowo gorowały nad nimi i samą ceną.

Koszta toalety balowej podniosłyby się jeszcze bardziej, gdyby sztuczne kwiaty moda zastępować zaczęła prawdziwymi i odświeżać je za każdym razem wedle potrzeby.

Dział owocowy odznaczał się obfitością wielką; wszystkie prawie większe ogrody warszawskie i okoliczne stanęły do popisu, nie brakło też i przedstawicieli prowincyi.

Niestety, obrzymie gruszki i jabłka, soczyste śliwy, złote ananasy nasycaly tylko oko zwiedzających, którzy polykali jedynie ślinkę, dopełniając smak wyobraźnią.

W tym dziale pomieszczono też przetwory kulinarne owoców; nieliczny zastęp wystawców stanął tym razem do apelu z mistrzynią swoją w sztuce osładzania ludzium życia przeróżnymi sokami, konserwami i konfiturami, na czele; autorka „365 obiadów“, p. Lucyna Cwierzakiewiczowa, reprezentowała nasze gospodynie i całe państwo spiżarniane, które powinno było wystąpić liczniej i pokazniej.

Jakim sposobem pierniki i piwo znalazły węzły kuzynostwa z botaniką?—dochodzić nie myślimy, dość na tem, iż miały swoje własne pawilony i cieszyły się sporem odbytem.

Przypuszczamy, że na przyszłej wystawie ogrodniczej znajdziemy już znaczniejsze okazy chmielu, który zwyczajko zaczął konkurować ze swoim zagranicznym rywalem i pozwoli panom browarnikom częściej korzystać z produktu miejscowego.

Wogóle cała wystawa następna powinna wykazwać rozwój ogrodnictwa naszego we wszystkich kierunkach, czego mu najszczerzej życzymy, a co może być tylko wynikiem wytrwałej pracy i zamilowania jednostek, poświęcających się temu zawodowi.

Wystawa ogrodnicza była ostatnim, jak powiedzieliśmy— efektem letniego sezonu; wcześniejsze zmroki, chłodniejsze wieczory przyczyniają się zwykle do koncentrowania u nas, jak i wszędzie, towarzyskiego i publicznego ruchu pod dachem.

Niebawem otworzą się salony, rozpocznie się szereg koncertów i popisów muzycznych, sztuka dramatyczna przeniesie się na zimowe leże do swego mrowianego gniazda i zaczniemy żyć... normalnie.

Sceny ogródkowe w tym roku o dwa tygodnie wcześniej zasłoniły się po raz ostatni kurtynami, i kto wie, czy je z nową a rozpaczliwą odwagą podniosą z przyszłą wiosną.

Nowe niepowodzenia, nowe krachy sparaliżowały chyba do reszty tę ogródkową Melpomene, żyjącą w niedobranem stadle z Gambrynusem. Panowie dyrektorowie teatrzyków powinni się byli przekonać, że „piękne dni Aranjuezu“ minęły dla nich, niestety, w zmiennej Warszawie, i że najlepiej zrobią spauzowawszy rok, albo dwa. Repertuar się wyczerpał, nowości oryginalnych niema zkad brać, talentów aktorskich coraz mniej także na deskach scen prowincjonalnych, publiczność stała się wybredniejszą, niż za czasów nieboszczyka Rusanowskiego, twórcy pierwszych teatrzyków ogródkowych w Warszawie... Jak tu w tak niekorzystnych warunkach iść na przebój?

Smutny, oplakany, ciężki jest los tych wędrownych, artystycznych drużyn, która się coraz bardziej rozsypują i przestają służyć za kolporterę sztuki na prowincyi.

Od powodzenia w Warszawie zależała najczęściej ich egzystencja, a dzisiaj ta deska ratunku usuwa się biedakom.

Publiczność prowincjonalna powinna by we wspólnym interesie większą opieką i względami otoczyć owe wędrownie teatra, które jej niekiedy jedyną summę estetycznych wrażeń przynoszą z sobą w cichem, nudnem i zgłuszonem życiu partykularza.

Sezon muzyczny rozpoczęło u nas Towarzystwo Muzyczne środowym wieczorem; z projektów zarządu widać, że się zanosi w nowym roku na energicniejszą działalność, która, jeżeli tylko na dobrych chęciach nie poprzestanie, powinna podnieść interessa instytucyi i przywrócić jej czasy minionej świetności.

Z niespodzianek i wabików estradowych przygotowała nam dyrekcyja na przyszły tydzień popis lwowskiego kwartetu męskiego, który przedstawi w Warszawie rezultat czteroletniej pracy i studyów wokalnych śpiewackiego stowarzyszenia pod firmą „Lutni.“

Stowarzyszenie to posiada około 120 członków czynnych i stanowi najlepszy chór w Galicyi, którego artystyczne produkcje zyskały sobie uznanie poważnej krytyki; oprócz artystycznych celów „Lutnia“ przysługuje się miłośnikom śpiewu i literaturze muzycznej wydawnictwami śpiewników w języku polskim, które podejmuje własnym nakładem, pokrywanych z dochodów, jakie przynoszą składki członków i koncerty urządzone zwykle z wielkim powodzeniem we Lwowie i w znaczniejszych miastach prowincjonalnych.

Do Warszawy przybędzie tylko najcelniejsza reprezentacja „Lutni“, ze swoim prezesem p. Romualdem Makarewiczem, na czele, aby na zaproszenie Towarzystwa Muzycznego wziąć udział w najbliższym wieczorze środowym t. j. dnia 23 b. m., a następnie wystąpić z własnym koncertem.

Nie wątpimy, iż popis lwowskich gości rozbudzi żywszy interes wśród naszej publiczności, która umie często najmniej zasłużonemi względami obdarzać obce przywłoki, jak „Estudiantina española“, albo cygańskie kapele; niechże się zdobędzie na objaw należnej gościnności swoich śpiewaków, którzy pod każdym względem więcej na nią zasługują.

W naszym warszawskim „Salonie“ sezon jesienny również odznaczyć się ma niepospolicie; oprócz celniejszych prac polskiego pędzla zapowiadają przybycie w przyszłym miesiącu słynnego dzieła Munkasyego: „Chrystus przed Pięlatem.“

Obecnie z obcych utworów sprowadzono duży

obraz francuzkiego malarza, przedstawiający „Śmierć Szopena“; twórcą jego jest p. Barrias, ale interes i sympatyą, jakie to płótno w naszej publiczności budzi, odnoszą się więcej do tematu, aniżeli do samych zalet wykonania i talentu artysty.

Malarz wybrał poetyczną chwilę zgonu naszego wielkiego pieśniarza, w której, jak wiadomo, przyjaciółka Krasińskiego, Delfina Potocka na usilną prośbę umierającego śpiewała hymn Stradelli, tłumiąc łzy, gwałtem cisnące się jej do oczu.

W przedstawieniu tej rozrzewniającej sceny artysta starał się pogodzić realizm wykonania z idealizmem i poezią tematu. Główną figurą obrazu jest uroczą śpiewaczką w postawie stojącej przy pianinie, ubrana w biały jakiś, niby klasyczny kostium, z miną serafa lub cheruba; na łożu, ze śmiertelną bladeścią w twarzy, ale z wyrazem zachwyty ulatującej duszy w oczach, leży Szopen, zasłuchany w ten rozkoszny widocznie śpiew, a dokoła grupują się figury przyjaciół konającego, wyrażających smutek swój i żal nad bliską stratą genialnego muzyka-poety.

Pan Barrias maluje ładnie, poakademicku, ale nie może się poszczycić kolorytem i efektami układu; pomimo poetyczności przedstawionej sceny, obraz sam nie sprawia cieplejszego wrażenia.

Zapowiadane wydawnictwo humorystycznej jednodniówki, podjęte przez redakcyą „Kołców“, ukazało się wreszcie w druku pod tyt: „Śmiech dla łez“, i stanowi niejako dopełnienie poważnego wydawnictwa „Dla pogorzalców“, które wyczerpuje się już w pierwszym nakładzie.

Wszystkie niemal celniejsze pióra i ołówki naszej miejscowej humorystyki pośpieszyły złożyć daninę swoją na cel tak szlachetny; zpod tego „Śmiechu“ wszelako przebijają „łzy“ niekiedy gorzkie i palące; poważna reflexya w delikatnej osłonie wiersza lub prozy, satyryczny dowcip i ironia cechują wszystkie prawie artykuły, ale śmiechu dla śmiechu, szczerzej swobody i wesołości, dowcipu dla samej gry wyrazów niewiele, prawie nic w tej humorystycznej wiązance.

* * *

Jednodniówka „Kołców“ powinna mieć powodzenie i rozejść się w ślad za jednodniówką, pod redakcyą czcigodnego Pługa puszczoną w świat; zasługuje na to ze względu na swój cel, jako też wartość artystyczno-literacką.

Ze spraw bieżących winniśmy wspomnieć o fakcie nareszcie dokonanym; o otwarciu szkoły rzemieślowej imienia Konarskiego; dla młodzieży naszej przybywa w niej pożądana wielce inicjatywa praktycznej nauki, zapewniającej w przyszłości kawałek chleba i utrzymania. Rzeczona szkoła urządzona zostaje według programmatu obowiązującego szkoły trzyklassowe miejskie w Królestwie Polskiem.

Oprócz przedmiotów teoretycznych początkowego wykształcenia odbywać się będzie w godzinach popołudniowych nauka rzemiosł; oprócz trzech klas utworzony będzie jeszcze oddział specjalny, mający kształcić majstrów budowlanych, stolarzy, ciesli, mularzy i ślusarzy. Naukę rzemiosł poprzedzi t. z. praca ręczna, obowiązująca wszystkich uczniów. W każdej z trzech klas wychowawcy instytucyi uczyć się będą klejenia figur z tektury, modelowania i lepienia okazów z gliny, plecienia koszyków, później wyrobu narzędzi gospodarskich, a w oddziale specjalnym kształcić się będą w obranych przez się zawodach.

Dla ojców i matek wiadomość o otwarciu tej szkoły będzie zapewne wielce pożądaną, tem bardziej, iż opłata w niej za naukę oznaczoną została tylko na rs. 10 rocznie, która-to summa może być wnoszoną w dwóch ratach półrocznych.

Drugą wiadomością pocieszającą dla naszego ogółu jest projekt założenia w Warszawie towarzystwa opieki nad chorymi, bez różnicy wyznania; towarzystwo to będzie rodzajem instytucyi assekuracyjnej na wypadek choroby, członkowie bowiem otrzymywać mają poradę lekarską i

wszelkie środki lecznicze darmo, jedynie za opłatą miesięcznej składki, oznaczonej na pół rubla.

Odpowiedni projekt ustawy został już wygotowany i złożony na ręce pana prezydenta miasta, który ma być prezesem i głównym protektorem wspomnianego towarzystwa.

Życzyć wypada, abyśmy zbyt długo nie musieli czekać na powstanie takiej samarytańskiej instytucyi, któraby w naszych warunkach była prawdziwym dobrodziejstwem, zwłaszcza dla klas mniej zamożnych, cierpiących zwykle podwójnie w razie choroby i narażonych bardziej utratą zdrowia, niż życia.

Dla biednych bowiem śmierć bywa często łąską, ale choroba najcięższą i najdotkliwszą karą.

FRYC I FRYCEK

NOVELLA

Michała Wołowskiego.

Między Wogezami, Lanterem, Renem i Burgundą leży kraik niewielki, którego imię w ostatnich zwłaszcza czasach powtarzały prawie wszystkie usta. Łany tam ziemi wyglądają niby las pokryty złotemi pszenicznymi kłosa; winna jagoda obfitego podziś dzień dostarcza soku dla ust spragnionych.

Od północy widnieją stoki Wogezów, od południa stoki Jury, a między tem wszystkim uroczę, niby raje na ziemi, doliny żyzne i Ren wspaniałe, w którego nurty już miliardy kropli krwi ludzkiej spłynęły.

To Alzacya.

Jak tam dobrze, jak wygodnie przez długie czasy żyć było ludziom!

Mały ten kraik rósł też i potężniał, fabryki wyrastały w nim, jak grzyby po deszczu, wino coraz smaczniejsze rodziło owoce, a kłosa pszeniczne coraz większe wydawały ziarna.

O, dobrem jest powodzenie, ale nie dla krajów i ludów: budzi ono zazdrość w sąsiadach, drażni wrodzoną naturę człowieka—chciwość i wiedzie na pokuszenie zamachów.

Dzieje mówią, że oddawien dawna taką była natura ludzka i że taką pozostanie do skończenia świata.

Pokój Westfalski zapewnia ten kraik Francyi na długie czasy, a ostatnia wojna francuzko-pruska wciela go do nowo utworzonego cesarstwa i poddaje experimentom, na jakie każda uczciwa dusza wzdręgnąć się musi.

Tak chce jednak żelazny kanclerz, który zasadę siły przed prawem postawił.

Szumiący Ren ma odtąd słuchać rozkazów niemieckiej gwary, tradycje Turenusza muszą zniknąć wobec podbojów Moltkiego, a nad tym całym pasem uroczym ziemi zawisnął już straszny okrzyk zwycięzców: *Vae Victis!*

Żelazny kanclerz od początku politycznej swej karyery umiał energicznie przeprowadzać swoje plany, dla niego nie było—ani świętych uczuć, ani praw żadnych: była tylko narodowa niemiecka ambicya.

Tam poza Renem i przed Renem mieszkał lud nawskroś francuzki, kochający całą żywością swego temperamentu ten kraj uroczy, gotów dla niego życie poświęcić.

Kanclerz wielki nie życzył sobie, aby ten lud tak kochał Francją; miał na zawołanie historyków, który dowieźć byli gotowi, że Pan Bóg Niemcem się urodził, a cóż dopiero, że i Alzaccycy byli Niemcami; miał gadzinowy fundusz, którym opłacał dziennikarzy, aby tak mówili i pisali, jak on rozkaże; miał miliony bagnetów i najgenialniejszych strategików umiejących niemi odpowiednio pokierować; miał Królewiec, Magdeburg i wiele innych silnych twierdz dla opornych; a jednak długo stał z założonemi rękami i z wytężonym wzrokiem ku Francyi, zanim nad Renem zagrzmiały działa.

Żelazny kanclerz wiedział jednak, że są rzeczy

na świecie, które przed siłą się nie ugną, że wobec nich i bagnet i złoto i twierdza są niczem; żelazny kanclerz był i jest człowiekiem, wierzącym w siłę, ale jednocześnie rozumiejącym moralne prawa, których sama brutalna siła zdusić nie zdoła.

Zniszczyć ją może sam tylko naród, gdy znikczemnieje, gdy struje ducha swego, będącego jego skarbem.

Dopomóż do tego zatrucia, władcę w ducha niewiarę we własne siły, lekceważenie dlatego wszystkiego, co święte, stało się hasłem pracy kanclerskiej przedtem, zanim działa zagrzmiąły pod Strasburgiem, zanim kirasyerzy pruscy znieśli pierwszy pułk francuzki, a nad Francją zawisły straszne chmury nieszczęścia.

Idea wielkiej germańskiej ojczyzny kielkowała już wśród wielkich ludzi Niemiec, kielkowała w niższych warstwach, podniecana legendą o rycerzach Karola W. którzy, śpiąc w olbrzymiej górce pod Salzburgiem, obudzić się mieli niebawem i wielkie zjednoczenie doprowadzić do skutku. Wskrzeszał Nibelungów Wagner, poeci poszli w służbę niskiej polityce siły, filozofia stała się także narzędziem państwa i wszystko zapowiadać się zdawało jutro wielkie dla Niemiec, które, wyrosły jako pasożyt na ciele obcym, coraz energiczniej, coraz śmielej zapuszczały korzenie wśród ludów Europy.

Książę kanclerz patrzył jednak wciąż w stronę Renu, na zachód, i szeptał: potrzeba, ażeby tam miał swoich ludzi.

Wiedział on aż nadto dobrze, jak ten polip niemiecki ssać umie i chciał zobaczyć kilku swoich współziomków wśród tego ludu, który miał według planów stać się niedługo własnością jego ojczyzny.

O tak! dosyć było kilku artykułów dziennikarskich, opisujących uroczą Alzacyą, aby obudzić apetyt niemieckich kulturtregerów do wędrówki nad ten Ren malachitowy, żyzne jego doliny, ziejące życiem: fabryki — jednym słowem: na tę szczęśliwą krainę, w której możnaby zrobić majątek i dojść do milionów.

I wkrótce Alzacya ujrzała tych cywilizatorów z nad Sprei, ciągnących ku niej dla stwarzania sobie wygodnego bytu — to jest ojczyzny.

Rozpoczęła się już robota, której końcem był Metz i Sedan, oraz dobrodziejstwo przyłączenia Alzacyi i Lotaryngii do nowo-ogłoszonego pruskiego Cesarstwa.

Na tronie Francyi, szarpanym od długiego czasu, jak przez lud, tak i przez mocarzy, zasiadał prezydent Rzeczypospolitej Ludwik Napoleon Bonaparte. Zamach 2 Grudnia zrobił go cesarzem, a dalsze dzieje zepsucia i upadku moralnego cesarstwa znane są zbyt dobrze, ażebym miał je tutaj powtarzać.

Z tym upadkiem i zepsuciem rozpoczęło się razem staczanie w przepaść całego ludu.

W bliższym poczuciu swojej wielkiej potęgi nie mógł ani cesarz, ani jego rząd zwracać uwagi na to, co się działo nad Renem, na te wędrówki tych kulturtregerów, którzy przygotowywać mieli grunt żelaznemu kanclerzowi do jego przyszłych podbojów.

Poniżej Wisenburga, w Niższej Alzacyi w majątku barona de Noisette, wiosce Mülhausen, zjawiał się pewnego poranku oryginalny człowiek, z oryginalnym pakunkiem. Był to już podżyły lat mężczyzna, korpulencyi dosyć silnej, twardy koloru ziemi, z krótką fajeczką w zębach; przyjechał na wózku, ciągniętym przez lichą, wychudłą szkapę. Towarzyszyła mu kobieta i małe chłopię. Na wózku prócz tych ludzi znajdowała się jeszcze spora ilość rozmaitego rodzaju betów, naczyń kuchennych i rupieci, których przeznaczenia trudno na pierwszy rzut oka było się domyślić.

Przybyły, jadąc noga za nogą, zajechał przed wspaniałym pałacem, ominął zasadzone kwiatami klomby, lecce dał do trzymania chłopcu siedzącemu na bryczce, a sam z miną obojętną, zimną, jakby go świat cały nie obchodził, podążył w stronę ganku, w którego drzwiach dopiero wstrzymał go suto ugalonowany lokaj.

— Czego? — było zapytanie kamerdynera.

— Z interessem do pana barona — odpowiedział flegmatycznie przybyły.

— Pan baron nie załatwia żadnych interesów, była odpowiedź — proszę się udać do plenipotenta, w lewej oficynie naprawo.

— Ale na interesie, z którym ja przychodzę, pan baron grubo zarobić może. Czasy teraz ciężkie, ludzie pieniędzy potrzebują, a ja je mam i dać chcę: to przecie jasne; proszę o tem powiedzieć panu baronowi.

Kamerdyner od stóp do głów zmierzzył przybysza wzdłuż, spojrzął na jego wózek i jego samego, z lekceważeniem się uśmiechnął i jakoś nie myślał zaanonsować tego, przynoszącego pieniądze, człowieka.

Przybyły także się przyglądał kamerdynerowi, bez lekceważenia tylko, a zdawał się pilnie go obserwować, w końcu rzekł:

— Fryderyk von Müller, inżynier, chciałby zarwać z panem baronem de Noisette wspólnie w celu eksploatacji żelaza, jakie niezawodnie znajduje się w jego gruncie. Oświadczyć to panu baronowi; pieniądze płacę z góry: będzie kontent... — i tym razem pan Fryderyk von Müller do kamerdynera się uśmiechnął, podając mu wyjętego z kieszeni błyszczącego napoleondora.

Było to na lat czternaście przed wędrówką miliardów francuzkich do pruskiej kieszeni, było w tych czasach, kiedy słów Napoleona III z natężoną uwagą słuchała cała Europa, a jednocześnie i w tych, w których cała Francya udawała szczęśliwy naród, nurzając się w błocie rozpasania i rozpusty.

Możnaby powiedzieć, że cały czas panowania Bonapartego na tronie francuzkim był panowaniem blagi i zepsucia moralnego.

Blaga udawała się do pewnego stopnia, bo świat chętnie w to wierzy, co błyszczy, ale ta blaga degenerowała naród stojący i tak już nad przepaścią.

Rak moralnego zepsucia toczył wewnątrz państwo, a niemieckie termy podkopywały jego siłę na kresach.

Baron de Noisette należał do kategorii tych błyszczących motyli nowego Babilonu, którym ostatnie cesarstwo dało honorowe miejsce. Bulwary, foyer teatrów, kulisy, domy gry i rozpusty roily się tą młodzieżą, żyjącą bez jutra i nieprzewidującą nieszczęść Francyi. Noisette robił to, co robili wszyscy jego towarzysze: był w cesarza na pokojach, grał, nmizgał się i dosyć szybko tracił majątek. Dobra jego, dość znaczne, które po ojcu odziedziczył w Alzacyi, przynosiły spore dochody, nie tak wielkie jednak, aby wystarczyły na zadosyć uczynienie wszystkim przyjemnościom, rozbawionego zdechlaczka.

Pan baron pewnego pięknego poranku otrzymał list od plenipotenta swego z Alzacyi, w którym zupełnie jasno oświadczone mu, iż majątek olbrzymim jego wydatkom podobać nie może, że dobra są tak już obdłużonemi, iż pożyczki nikąd wydobyć nie można, w końcu, iż grozi katastrofa sprzedaży przymusowej, przez niecierpliwych wierzyteli.

Baron wobec tego listu niewiele miał środków do wyboru: trzeba było jechać na wieś, zajrzeć do tej, jak mu przedstawiano, ruiny i poszukać odpowiednich środków do wydobycia się ze smutnego położenia. Ufał on swojej gwiazdzie: cesarz go tak lubił, tylokrotnie racył go nawet klepać po ramieniu, no, to niezawodnie znajdzie mu odpowiednie jakie dyplomatyczne stanowisko, które podszarzaną kieskę wypełni.

Baron Henryk de Noisette zresztą nie był złym człowiekiem; był to typ przeciętny Paryżanina arystokraty z sercem, jak to mówią, złotem, ale i z myślą, niby nitka pajęcza — lekką.

Natury takie chętnie poddają się złudzeniom i szybko bardzo w ich oczach wszelka czarna burza nieszczęścia na różową się zamienia. Płynęła w nim krew gorąca, francuzka, zapalna szybko, ale również szybko stygnąca, każde nieszczęście ucuwał natychmiast, ale też i szybko o niem zapominał, to samo działo się zupełnie i z popędami szlachetnymi, jakie w swej duszy nosił.

Baron de Noisette był żonatym. Ożenienie się jego było także skutkiem chwilowego szlachetnego popędu.

Ujrzał śliczną hrabiankę Biankę de Néville,

zdawało mu się, że ją pokochał: oświadczył się i został przyjętym. Ale wietrzniaków takich, jak baron Henryk, nie zmienia małżeństwo.

Idylliczne zapaly miłości minęły, wieś, w której po ślubie się osiedlił, zaczęła go nudzić, i w końcu, zostawiwszy żonę wraz z córką, uciekł do Paryża, jakoby po ważne polityczne stanowisko, a w rzeczywistości, aby się nurzać dalej w życiu, które smakowało mu lepiej od cichego wiejskiego ustroju i rodzinnego szczęścia. Pani Bianka wniosła mu spory posag, który znów na jakiś czas hulaszczego żywota mógł wystarczyć, ale nie na czas długi. Po latach paru pan baron znalazł się w tejsamej pozycji, co przed ożenieniem, i znów, chcąc nie chcąc, wioskę odwiedzić musiał.

W tym to czasie widzimy właśnie pana Fryderyka von Müllera, pukającego do drzwi zbankrutowanego szlachcica Francyi.

Plekroć na ludy przychodzą chwile nieszczęść, paroxyzmy*zaszczenia dziwnego, to zawsze ratuje je z nieszczęścia kobieta i tylko tam dojrzed zbawienia niepodobna, gdzie brak uczciwej matki i żon uczciwych.

Na niwach Alzackiej Ziemi, gdy pan baron trwonil złoto swoje i żony swojej w Paryżu, niby anioł roztoczyła swe skrzydła opieki Bianka. Paryż jej nie nęcił; była wnuczka jednego z tych wojowników wielkiej gwary, która w usługach dla ojczyzny na polu bitew dorabiała się tytułów i majątku. Wielu między nimi było takich, którzy dla tych tylko zysków biegli w ogień i szli na działo, ale wielu i takich, a nawet pono więcej, którzy lekceważyli swoje życie, jedynie dla tego pustego wyrażenia: tak czynić trzeba dla honoru Francyi. O! ci byli ludźmi ze spizu; późniejsze czasy odzierały ich z bohaterstwa i aureoli wielkości, ale cóż ich obchodzić to mogło? Z tych bojów krwawych wynieśli największe na świecie skarby, — charakter. Były one podstawą i fundamentem rodzin, które ani zdracców ani nikczemnych krajowi nie dały.

Bianka z takiej wychodziła rodziny, rozumiała stanowisko uczciwej kobiety w swoim społeczeństwie: i oto dlaczego nie widziała jej w tłumie bawiących się stolica Francyi. Nie chciała ona rozumieć nieszczęścia, jakie ją dotknęło przez męża. Pałacyk w Mülhausen, alzacka dziatwa, szpital, córka wreszcie stały się całym jej światem; czekała lepszych dni dla siebie i lepszego życia dla Francyi.

Pan baron wreszcie zdecydował się odwiedzić swoją wioskę, swoją żonę i swoje dziecko. Była to wielka uroczystość dla tej biednej kobiety, która nie chciała wiedzieć i domyślać się nawet przyczyn, dla jakich ją mąż zaniedbuje; przyjęła go z otwartemi rękoma, z uściskiem ciepłym, serdecznym, który nawet i jego rozrzewnił. Pokazywała mu wszystko, co podczas jego nieobecności zrobiła, spowiadała się z każdego czynu, co chwila pytając o zdanie i z obawą spoglądając na czoło męża, azali na niem chmurki niezadowolonia nie zobaczy. Baron zdawał się pilnie słuchać tej całej spowiedzi, a gdy już wszystkiego wysłuchał, szepnął:

— Prześlicznie, przewybornie, moja najdroższa! ale pewnie i w kassie pieniędzy jest sporo.

Pani baronowa na pytanie to nie umiała nic odpowiedzieć, zarumieniła się tylko po uszy i wtedy, gdy baron swoje pytanie powtórzył, z wyrzutem pewnym w głosie zawołała:

— Wszakżeśmy ci wszystko posyłały do Paryża; oszczędzałyśmy się ze Stellą we wszystkim; zkadze więc jeszcze mogłybyśmy mieć pieniądze?

Ta prosta, uczyniona w najzwyczajniejszym tonie uwaga pepsuła zupełnie humor panu baronowi i pierwotne wzruszenie, jakiego doznał przy uścisku żony, rozviała.

— Więc cóż? wówczas, kiedy się karyera otwiera przede mną, z braku środków mam tutaj zostać i zginąć na tej wsi przeklętej...?

— My tu jesteśmy — ośmieliła się cicho wyszeptać baronowa — ja i Stella.

Ostatnie nawet imię wymówiła z pewnym naciskiem.

Zniecierpliwiła widocznie ta uwaga barona, bo od stołu wstał, niespokojnym, nierównym krokiem po pokoju się przeszedł i nagle zawołał:

— Ależ ja tu zostać nie mogę! tu ruina, potrzeba się ratować... Cesarz chce mnie zrobić ambasadorem przy jednym z najważniejszych dworów: stanowisko poważne, dochody wielkie; to jedno od ostatecznej ruiny ocalić nas może.

Baronowa milczała i w tej chwili właśnie wszedł do pokoju kamerdyner, anonsujący pana Fryderyka von Müller.

(Dalszy ciąg nastąpi).

OSTATNIE UTWORY JOKAYA.

Gród Bogów.—Przez wszystkie piekła.—Ostatni Basza Budy—Bolivar.

Jokay, który przez czterdzieści lat pisarskie go zawodu stworzył 500 dzieł: powieści, nowelli i dramatów, nie zmęczył się tą płodną pracą i pióro jego obdarzyło znowu czytającą publiczność nowymi, zawsze chciwie chwytanymi utworami, które, przekładane natychmiast na język niemiecki, stają się przystępnymi szerokiemu kołu europejskich czytelników. Niezmiernie żywa i bujna wyobraźnia jest siłą, która go tak niewyczerpanym czyni, i choć często unosi go tak daleko, że oryginalność staje się dziwacznością i niejedna z jego powieści, naprzykład: „Co opowiadała trupia głowa”, „Ze smutnych dni”, „Piękna Michala”, jest skutkiem tego dziełem chybnym, jednak dzięki tej gorącej i malowniczej fantazyi to, co po wybrakowaniu pozostaje, starczy do pełności, aby Jokay zaliczał się do rzędu pierwszych powieściopisarzy świata. Miłość węgierskiej ojczyzny, pulsująca w każdym jego utworze, zwłaszcza większych rozmiarów, jest drugą pomocniczą siłą jego geniuszu i w niej może kryje się głównie tajemnica jego ogromnej twórczości. Kocha—kocha miłością gorącą przeszłość swego narodu: kocha madziarską jego odrębność, jego właściwości, obyczaje, rodzimą jego poezją, i maluje na tem tle obrazy, do których tak się zapala, że, uniesiony, puszcza wodze fantazyi swojej i zdaje się wykrzykiwać na swego Pegaza stare hasło Kuraczan:—Naprzód Madziar! naprzód!...

Żywe życie, drgające zawsze w utworach Jokay sprawia ich ogromną poczytność. Nawet dziwaczni, szaleni pełni wybryków bohaterowie tych utworów, żyją jednak i czytelnik czuje to ich życie, kipiące falą krwi gorącej, bo też pomimo tego, że wyobraźnia, fantazyja romantyczna, gra wielką rolę w twórczości Jokay, niemal wszystkie przedmioty jego powieści są brane z życia, jak to opowiada w przedmowie do dzieła: „Negyven év vizsága” (Przez czterdzieści lat). „Muszę się przyznać—pisze on tam—że mam pewnego współpracownika—publiczność!... O każdym zajmującym życia zjawisku donoszą mi nieznamomi przyjaciele. Kiedy robię wycieczki po kraju, opowiadają mi historie, które synom dostały się po ojcach; z drugiej strony historycy, szperacze starych archiwów, zwracają moją uwagę na pojedyncze epizody, pojedyncze postacie z naszej przeszłości. Jednym słowem: mogę powiedzieć, że cały naród węgierski współpracuje ze mną.”

Dlatego też cały Naród Węgierski go czyta. Czytają go i poza granicami jego ojczyzny, bo ludzkość interesuje się zawsze człowiekiem, i historią jego ducha, gdy szarpie się w pętach losu. szturmując niebo, czy piekło, pociąga silnie do siebie, skoro tylko wieje zeń niekłamane ciepło życia, co właśnie jest cechą i zaletą najważniejszą utworów Jokay. W ostatnich czasach czerpał on przeważnie ze starej skarbnicy wspomnień dziejowych, przeciw utworów jego z tej epoki nie należą do liczby tych, które mu zapewniły jego wysokie stanowisko w literaturze. *Gród Bogów*, odpowiadający poniekąd naszej *Starej Basni* Kraszewskiego, osnuty na tle legend ludowych i podań historycznych z epoki pierwszego osiedlenia się Węgrów w Europie i przyjęcia

chrześcijaństwa, mimo pojedynczych rysów, pełnych siły i dramatyczności nie sprawia jednak tego wrażenia, co *Stara Basń*, nie posiada jej poezyi i piękności artystycznej. Istnieje wprawdzie różnica w rodzajach talentu dwóch wielkich powieściopisarzy, tak, jak istnieje różnica w materyale historycznym, który opracowywali. Tu Polska zdaje się występować z łona natury łagodna, dobrotliwa, spokojnie pracowała wśród polanek swoich rodzinnych lasów, nad błękitnymi wodami swoich rzek i jezior, i tylko zastawiać jej się trzeba przed chytrymi przychodniakami, których przyjęłaby chlebem i solą, tak, jak przyjęłaby miłostnie Naukę Chrystusową, gdyby Ewangelia nie była jej niesioną przez tepiciele i napastników. Tam lud ostry, gwałtowny, natury surowo namiętnej, przybysz na ziemi cudzej, oszańcowany obronnie, toczy bój z nowymi pokrewnymi sobie hordami, które go oblegają, dziksze od niego straszliwe, krwi żądne. Jokay potrzebował też dla odpowiedniego oddania rzeczy, najwyższego natężenia swego talentu; nie stało się tak i *Gród Bogów* nie jest dlań, jak *Stara Basń* dla Kraszewskiego, perłą w koronie jego dzieł.

A jednak opracowywał on to epos swego narodu z wielką starannością, z wielką synowską miłością i mówił jednemu z podróżników, odwiedzających go w tych czasach, że w węgierskim oryginalnie *Grodu Bogów* „niema ani jednego w razie obcego pochodzenia, ani jednego, któryby nie był czysto, rdzennie węgierskim.” I studia, które potrzebował czynić nad przedmiotem, były pracowite:—„Napisanie tego jednego tomu kosztowało mnie więcej trudu i czasu, niż pięciu innych”—dodał wspomnianemu podróżnikowi.

Niemniej pracowitych studyów wymagało niewątpliwie napisanie powieści, także jednotomowej: *Przez wszystkie piekła*, ale i ten utwór, wyszły w roku bieżącym, niema potęgi natchnienia, i tych piękności porywających, do których Jokay przyzwyczaił czytelnika w innych dziełach swego pióra. Tło przeciw nadawało się do tego, bo powieść jest osnuta na dziejach wyprawy krzyżowej (szóstej) pod wodzą węgierskiego króla, Andrzeja II-go. Poeta nie rozwinął tu skrzydeł do lotu, i jest tylko narratorem który opowiada nam, nieraz pięknie i malowniczo, rzecz zaczerpaną z kronik. Podobnie, jak *Gród Bogów*, jest ona trzymana wciąż w tonie legendy, baśni ludowej; ma też jej prostotę, jej spokój poważny, który nie jest bez pewnego wdzięku, bez pewnego efektu artystycznego, ale wyłączyć to musiało zapał, ruch namiętny, dramatyczność i to malowanie wewnętrznego człowieka, którego Psyche pociąga, przywiązuje do siebie czytelnika i każe mu wraz z fikcyjną, przez autora stworzoną, lub z dziejów przeszłości wyprowadzoną, postacią, drzeć, płonąć, kochać, lub nienawidzić. Wiek XIII, ze swoją fantastyczną barwnością jest tylko ukazany, jakgdyby w odbiciu cienia swego. Węzeł powieści zadzierzguje się na tej dotychczas spornej miedzy Węgiem, w Siedmiogrodzie, gdzie Madziar Szekler, i Niemiec Sas, patrzą na siebie nienawistnie, trzymając rękę u kurka pistoletu, na głowicy starych pałazy. Tu miłość chce czynić zgodę. Saski graf Henning Bruniskald, kocha węgierską dziewczę, Annę Tompa, i wyprawia się na zeswatanie jej sobie do pogranicznej twierdzy madziarskiej, Zsombor którą zamieszkuje „Primor“ Szeklerów, Laszlo, czyli Władysław, Lebee, a szwagier Anny. Piękna i wielce bogata sierota zostaje pod opieką tego szwagra i zameżnej mu siostry, Maryi, kobiety smutnej i w duszy nieszczęśliwej, bo czującej, że nie jest kochaną przez męża, że inna, młodsza, piękniejsza, stoi pomiędzy nią a jego miłością. Anna odmówiła bardzo wielu konkurentom, starającą się o jej rękę i wiano; byli to rycerze szlachetni, młodziany piękne i dzielne, ale żaden nie pozyskał sobie jej serca, bo szwagier, w wielkiej o jej los troskliwości znalazł w każdym jakąś wadę, odsłonił jakąś złą stronę jego natury, która nie czyniła go dość godnym, aby Anna zdjęła dla jego miłości dziewczę swój wianek. Ale jasnowłosy Saxon podbił jej serce. Był piękny, uładny i gorąco wyrażał miłość swą dla niej; że przeciw mówił to mową obcą, dziewczę kazała mu oddalić

się na rok i sześć tygodni i uczyć się jej ojczystego języka, w którym jedynie mogła słuchać miłosnych wyznań. Bruniskald był z natury dumny i wyniosłego charakteru, przeciw dla miłości Anny uczynił, co mu kazała: udał się w góry Siedmiogrodu, zamieszkał we wsi węgierskiej, w chacie wieśniaczej, i we dwa miesiące mówił powęgiersku tak, jakgdyby był Madziarem z urodzenia. Anna rozrzucała się, jak róża, słuchając słów miłości, które jej mówił w ojczystej jej mowie, ale szata Bruniskalda była cudzoziemską, cudzoziemskim był jego ryzsztunek rycerski i on sam był jej obcym, bo należał do narodu, który od wieków walczył z Szeklerami; nie mogła więc zostać jego małżonką i rodzic w gnieździe jego dzieci niemieckie. — Stań się Szeklerem — rzekła mu — stań się Madziarem, dopiero będę twoją... — a on, piękny Saxon, schylił do jej stóp kopią swoją i uczynił, czego żądała. Z wieży jego rodzinnego zamku powiała chorągiew węgierska, on sam przywdział strój Madziarów i swoje jasne saxońskie loki zaplótł w warkocz, obyczajem Szeklerów. Saski margrabia, siedzący na stolicy Hermanstadtu gromił go i strofował, towarzysze broni i przyjaciele młodości szydzili zeń; on przeciw zniósł to wszystko dla pięknej dziewczę szeklerskiej, która też teraz nie cofała mu już ręki. Daro szwagier, dbały o jej szczęście, przekładał, że Bruniskald nie jest jeszcze Madziarem wypróbowanym, że po ślubie może się zachwiać w wierności swej dla nowej ojczyzny; Anna wierzyła, bo kochała i pozwoliła narzeczonemu rycerzowi wieść ją przed ołtarz. Ślub, długo odwołczony przez opiekuna, odbył się nakoniec; para kochanków stała się już przed Bogiem i ludźmi mężem i żoną, ale niestety! uroczystość weselna została zaburzona i przerywana w niespodziewany sposób.

Kiedy po skończeniu wspaniałej i długiej niezmiernie uczy, panna młoda odtanecowywała swój ostatni taniec dziewiczy, stając do niego w kolejkę z każdym družbą, a potem z każdym młodzieńcem, który należał do weselnego orszaku, aby nakoniec dostać się panu młodemu, któryby ją wtedy porwał, jak swoją, i wprowadził zdale od wesolego, klaskającego mu tłumy gości, nagle dał się słyszeć ostry, przeciągły dźwięk rogu, w który zadęto u bramy zamkowej. Kto to przybywał i kto oznajmiał się tak głośno? Opiekun panny młodej sprosił już tyle gości, było tylu družbów i młodych weselników, których po kolei przyprowadzał jej do ostatniego tańca dziewczę, że już przeciągnął on się nad zwykły obyczaj, i nawet poczęto szeptać o zmarszczonej czole i niecierpliwości wydającym wzroku pana młodego, gdy oto znalazł się jeszcze ktoś nowy, zjawiający się niespodziewanie! Ale nie był to tancznik weselny, ten mąż, który stanął teraz w progu sali, z herbem pństwa na piersiach, z długim piórem u kołpaka. Dobył on z pochwy miecz starożytny i gołem jego ostrzem błysnął do góry, a wszystkie kobiety zbladły, w piersiach wszystkich mężczyzn serca uderzyły gwałtownie, bo był to herold królewski, ogłaszający niespodziewany wybuch wojny.

Obwołał ją wielkim głosem, stojąc na środku biesiadnej sali, i ulubieniec nie odtanńczył już z ulubienicą dziewiczej jej tańca. Kto się czuł dzielny, mocny i chętny, powinien był natychmiast brać zbroję i siadać na koń, aby co prędzej stawić się do swego rycerskiego koła, pod chorągiew swoją. Kto był słabym, lub nie mógł zebrać się z innymi z powodu zajęć ważnych, mógł wyjazd swój odłożyć do jutra w południe, ostatnia kategoria starych i do boju w polu niezdatnych, wyciągała na trzeci dzień, aby zająć miasta i twierdze, jako załoga królewska; lecz do którego rzędu miał się teraz zaliczyć graf Henning Bruniskald?

Dawni jego towarzysze i przyjaciele, młodzi rycerze saxońscy, którzy mu służyli za orszak weselny, uśmiechali się teraz szydlerczo. Stał się Szeklerem i obowiązywały go prawa szeklerów...

On stał chmurny i wzruszeniem miotany, walczący ze sobą, gdy oto oblubienica, biała, jak jej zasłony weselne, podchodzi ku niemu i podaje mu

do pożegnalnego pocałunku usta swe zbladłe. Uczuł, że były zimne, jak lód, ale oczy jej błysnęły gorąco. Czekać go będzie, małżonka swego i pana, choćby rok płynął za rokiem. Czekać go będzie w zamku Zsombor pod opieką siostry starszej, i kiedykolwiek powróci, i jakimkolwiek powróci, choćby kaleką porąbanym, zastanie ją tu zawsze taką, jaką żegnał—sercem niezmienną, na czci małżonki jego niedotkniętą przez skazę żadną!

Ta wojna, na którą graf Bruniskald został wezwany z innymi, była to Szósta Krucjata, na którą król Andrzej II powoływał rycerstwo korony Ś-go Stefana. Że przecież żaden nieprzyjaciół nie naszedł granic węgierskich, że nie działa się krzywda żadna obywatelom węgierskiego państwa, Bruniskald nie zdecydował się od razu na porzucenie domu i żony młodej, ale szwagier jego, Władysław, okazywał się tak pełnym gorącego zapału, tak popychał go naprzód, tak zadzierzgiwał wkoło niego nici, wiążące rycerski honor nowego Szeklera, że stało się nakoniec to, czego żądał! Ale też za to ten szwagier wojowniczego ducha stał się teraz wiernym i nieodstępny jego towarzyszem. Jeden namiot sen ich osłaniał; w trudnym, nużącym pochodzie trzymał się on zawsze jego boku; ale snadź mieszkał w nim duch niespokojny, a serce jego było mniej czystem, niż serce młodego małżonka, bo popychał go ustawicznie do rzeczy nie dobrych i przedsięwzięć szalonych, ale Bruniskald umiał się opierać pokusom, któreby były niewiernością dla Anny i był dość rozstropnym aby nie popaść w niebezpieczeństwo bezużyteczne dla świętej sprawy, która ich wzywała nad brzegi Jordanu. Przecież raz stał się w duszy Władysława cud: widok Nazaretu tonącego w zieloności palmowych gajów i ogrodów figowych zachwyił go i przejął gorącą pobożnością. — Zostanmy tu! — zawołał na szwagra — Czuję cud łaski stępującej na mnie w tem miejscu świętem i wraca mi niewinność lat chłopięcych. Zbudujemy tu sobie chatę pustelniczą i zamieszkajmy w niej nazawsze!

— Uczyniłbym to, gdyby słodka moja Anna mogła być ze mną—odparł Bruniskald—i szwagrowie pociągnęli dalej z armią Krzyżowców, z rzeszą pielgrzymów i pokutników, która w trójnasób była liczniejszą od wojska, i przybył szczęśliwie do stóp świętej góry — góry Tabor, która dźwigała na sobie liczne ruiny z różnych epok: pałacu Heroda, klasztorów chrześcijańskich zbudowanych niegdyś przez cesarzową grecką Helenę, meczetów i pustelni muzułmańskich opustoszałych w biegu wieków. Wszystko to kryło się we wspaniałe bujnej roślinności palm i korkowych dębów, cytrynowych, pomarańczowych, kawowych drzewin, migdałowych i laurowych krzewów, i tylko sam szczyt skalistego wierzchołka wznosił się uroczyście w samotne, nagości swojej. Teraz Bruniskald uczył się wrzszonym: — O! gdyby tam paść na kolana, w tem miejscu świętem, gdzie może przebywają jeszcze duchy proroków i ślania się cień najmilszego Zbawicielowi ucznia, Jana Ewangelisty! — zawołał, wyciągając ręce ku górze, ale pobożne to pragnienie wykonaniem być nie mogło, bo góra święta znajdowała się obecnie w posiadaniu srogich i wojowniczych Saracenów, którzy się umocowali na niej, a ruiny dwóch starożytnych klasztorów greckich, Mojżesza i Elijasza, z obronkami, silnymi jeszcze basztami połączone ze sobą przejściem podziemnym, tworzyły silną i przez położenie swe na stromej wysokości niemal niedostępną dla zdobywcy cytadellę. A przecież było to miejsce drogie dla chrześcijan i zarazem panowało nad żyzną, piękną doliną Galilei, do której Krzyżowcy musieli się dostać, nie chcąc, nie mogąc, zostawiać silnego wroga poza sobą. Jak przecież wdrzeć się do tego zbrojckiego gniazda pod samym już szczytem świętym, jak się pięć po spadzistych i nieznanymi niebezpieczeństwami najeżonych bokach góry? — Bracie! — zawołał wtedy Władysław, zaliż się nie ma stać zadość twemu świątobliwemu żądaniu? Idź jako pielgrzym poboczny, ja ci towarzyszyć będę, jako druh twój wierny,

i utorujemy w ten sposób drogę dla wojska chrystusowego.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kartki z wycieczki do Pesztu.

(Dalszy ciąg).

O niektórych właściwościach i osobliwościach Pesztu (a nie jest ich wiele) pomówimy poniżej, opowiedziawszy wprzód do końca wrazenie dnia pierwszego. Mimo niedzieli, i do tego pory poobiedniej, Peszt przy ożywionym ruchu tramwajowym, przy pootwieranych sklepach, przy porozwieszanych wszędzie, nawet na chodnikach takiej pryncypalnej ulicy jak Kerepesi-ut towarach, przy wielkiej liczbie straganów, zwłaszcza nad Dunajem — wydał nam się przedewszystkiem miastem handlarskiem. Nawet publiczność, rojącą się po bulwarach, tłoczącą się do przystani i na statki, gotowiliśmy byli posądzić o jakies handlarskie zamiary. Z nastaniem wieczornej pory, ludek peszteński zaczął używać niedzieli. Liczne kawiarnie bulwaru Franciszka-Józef, zabłyśły światłami i zaroily się gośćmi Ulica Królewska zabrzmiała tonami wydobywającemi się z poza wielkich szyb i czerwonych firanek gęstych cafés chantants, piwiarnie zapełniły się licznym tłumem rzemieślniczym, naróżne szyneczki pootaczała klasa robotnicza, i gwarząc w licznych gromadach na ulicy, tamowała przejścia. Rozmaite ludek peszteński ma zabawy i uciechy, które, poddane rozpatrzeniu najwyraźniej — by pono przekonały, że ludek ten podobnie, jak i każdy inny, daleką ma jeszcze przed sobą drogę uszlachetnienia się i ukształcenia smaku. „Pokaż, jak się bawisz, a ja ci powiem coś wart.” Nie znając języka, nie mogliśmy badać zabaw ludowych; niektóre zresztą z nich mają kosmopolityczny charakter i tylko z większego lub mniejszego ich rozkwitu można wnosić o uszlachetnieniu mieszkańców, jak np. o Warszawie można nieco sądzić, widząc jak dobrym jest w niej grunt dla produkcji cyrkowych. Byliśmy któregoś dnia w teatrze ludowym, „Népszínház“ wybudowany jest nader pięknie i bogato, z uwzględnieniem wszelkich właściwych wymagań. Wspomnienie miękkich aksamitnych krzesel, ustawionych łukowato przepysznie ozdobionych łóż — przygnęło nas, gdyśmy w kilka dni potem siedzieli w obszarpanej i oblepionej brudem łożu teatru krakowskiego. W teatrze ludowym grano 99 raz sztukę p. t. „Az ördög pirulái“ w trzech aktach a 15 odsłonach. Była to komedia operetka, balet, żywe obrazy, panorama, co kto chce. Myśl przewodnia, jeśli tu może być mowa o jakiej myśli przewodniej, polegała na tem, aby przez wprowadzenie siły czarodziejskiej na scenę (jak u nas w „Panu Twardowskim“), dać pretext dekoratorom, baletnikom, ogniomistrzom, maszynistom do całkowitego i swobodnego rozwinięcia swojej sztuki. Nie mówimy już o grze aktorów, dość trywialnie szarżowanej. Każda odsłona miała inne, co raz-to fantazyjniejsze dekoracje; każdy akt kończył się coraz-to błyskotliwszą apoteozą: poświęcono tu wszystko dla spotęgowania wrażeń wzrokowych. Czyż takie bezmyslne rozrywki mają już wystarczyć średniej klasie mieszczaństwa peszteńskiego?

Niedyskretnie bawić się w takie przypuszczenia, skorośmy na wystawę przybyli i z niej mamy sądzić dzielność, postęp i siłę ducha węgierskiego. A właśnie przyjechało 1,200 Czechów w gościnę: w poniedziałek uroczyste ich przywitanie na wystawie zapowiedziano. Pośpieszmy.

II.

Országos kiállitás (wystawa krajowa). — 1,200 Czechów. — Gmach główny przemysłu. — Pawilon stolicy.

W czasie wystawy powszechnej w Wiedniu, r. 1873, pełno było Węgrów wszędzie, a oddział

ich wyróżniał się jaskrawymi napisami pośród napisów państw europejskich i zaeuropejskich: mieli oni i u siebie różne wystawy, poczynawszy od r. 1842, w stolicy i po miastach prowincjonalnych; żadna jednak nie była taka, jak obecna — mówimy: obecna, bo trwa ona i trwać jeszcze będzie do końca Października r. b.

Urządzono świetną wystawę z paromilionowym nakładem i nazwano ją *krajową* (országos), dano jej jednak niepomiernie większy zakres i cel, niż zwykłej wystawie krajowej. Już sam półroczny termin trwania i sposób urządzenia pokazują pod wielu względami pretensyjną nadania temu popisowi conajmniej europejskiego znaczenia: dział maszyn otworzono dla wszystkich wystawców (Internationale Maschinenhalle), utworzono hallę dla wyrobów pozakrajowych patentowanych, powołano wszystkie kraje do współudziału w czasowych wystawach inwentarza, tak np. wystawa owiec w Maju liczyła niebywałą podobno dotąd na żadnej wystawie liczbę okazów, bo przeszło 2,000. Postarano się o zniżenie ceny biletów na wszystkich kolejach środkowej i południowej nawet Europy, zdobywano się nawet na niezwykle pomysły, aby tylko jaknajwiększą liczbę gości ściągnąć: szczególny np. jest ów pomysł ostentacyjnego wprowadzenia i nagrodzenia 100 biletami na loteryę (przedstawiającemi wartość 100 guldenów) tego, komu wypadnie dopełnić cyfry miliona gości wystawowych. Pomysłano o wszystkim, co może nie tylko ułatwić ale i uczynić wygodnym i przyjemnym pobyt cudzoziemcowi w pięknej stolicy węgierskiej. Dla zachęty, a więcej może dla podniesienia dochodów wystawy przygotowano 2 miliony biletów loteryjnych po guldenie; i tu także liczone na cudzoziemców: znaczenie biletu, wysokość głównej i pomniejszych wygranych opiewa aż siedm języków: węgierski, niemiecki, francuzki, włoski, słowacki, czeski i polski. Gościnność Węgrów zwłaszcza w przyjęciu zbiorowych odwiedzających, przechodzi granice i formy, dotychczas w podobnych razach ustalone; potrzeba było zapewnień na drodze urzędowej, że owacy, wyprowadzani gościom, nie mają charakteru żadnej politycznej manifestacji lecz tylko są wyrazem serdeczności i gościnności gospodarzy. Właśnie gdy to piszemy, wjeżdża do Pesztu kilka setek Polaków z Krakowa i Lwowa, mieszają się dźwięki mowy węgierskiej, polskiej a nawet łacińskiej przy okrzykach kilkunastotysięcznego tłumu. Przed miesiącem zaś entuzjazmował się Peszt cały, podejmując poważnych i zasłużonych gości francuzkich; tłumy za groszem i zyskiem goniącego mieszczaństwa, służyły w skupieniu, przed pomnikiem Petöfięgo, poematu, jaki Fr. Coppée na cześć poety i bohatera głosił. Zapał gospodarzy przeszedł widocznie w chwilowe podsycenie, skoro pomiędzy takimi zasłużonymi dygnitarzami jak Pulszky i hr. Zichy zaszło z tej okoliczności nieporozumienie, które dopiero ostrza pałaszy przeciwników usunąć zdołały.

Węgrzy przez lat parę przygotowywali wystawę na popis przed Europą; dopięli swego, nie szcędząc ofiar, trudów i energii. Komitety wystawowe, związane po prowincyi, zebrały i wyzyskały wszystko, co tylko godne widzenia. Wystawę tę nazwalibyśmy właściwie: narodową albo patriotyczną. Kto mógł spieszył, ażeby cegiełkę do tej budowy, mającej mówić Europie o żywotności Węgrów, dorzucić. Powzięto projekt zbiorowego opracowania obszernego dzieła, któreby było wyrazem i pomnikiem potężnej summy pracy, na wystawie przedstawionej.

Magnaci i bogacze powystawiali własnym nakładem bogate pawilony; do popisu tego wystąpiły także ministerya, władze, korporacje, stowarzyszenia. Nam, którzy, pełni nieraz najsłabszych zamiarów, nie umiemy dotąd, uczymy się raczej dopiero, pracować zbiorowo daleko pod tym względem do Węgrów. W programmacie półrocznego tego aktu uroczystego pomieszczono jeszcze: 14 wystaw czasowych: kwiatów, jarzyn, owoców, drobiu i wszelkiego rodzaju inwentarza, tudzież 22 kongresy przemysłowców i specjalistów wszelkiego rodzaju, poczynawszy od archeologów i naturalistów, a skończywszy na aktorach i szewcach.

Wyznaczono 300,000 metrów kwadratowych lasku miejskiego na plac wystawy, na którym około pałacu głównego przemysłowego (ipar—csarnok) stanęło 96 wystawowych budynków i nieco dodatkowych. W obszernym budynku dyrekcji koncentruje się zarząd z odpowiednimi biurami, przychem na usługi publiczności urządzono biuro prassy, pocztę, telegraf i telefon. Wszelką tedy korespondencją, z osobami bawiącymi na wystawie najdogodniej przesyłać post-restante (adressując: Budapest kiállitás, Budapest—Ausstellung). Cały materiał wystawowy podzielono na 32 grupy, w zapewnieniu których przyjęło udział blisko 10,000 wystawców. Sam Peszt dostarczył ich 1,410; Kroacya—1,503. W ogólnej tej liczbie nie pomieszczono jeszcze 200 exponentów, rozmieszczonych w międzynarodowej halli maszyn.

W rolniczym kraju węgierskim najliczniejszy musiał być oczywiście dział rolniczy (grupa I); liczy on 1196 wystawców; tuż za nim następuje dział wina i trunków (grupa IX) liczący 1,187 wystawców, a dalej dział przemysłu domowego (grupa XXIX) z 1,052 wystawcami; 13 tylko wystawców reprezentowało żeglugę; 21—uzbrojenie; 51—instrumenta muzyczne; 61—narzędzia i przyrządy naukowe; 79—papiernictwo; 85—ogrodnictwo; dział pedagogiczny ujęto w dwie grupy: XXX przemysłowo-wychowawcza, z 109 wystawcami, i XXXI szkolna, z 376 wystawcami, czyli raczej szkołami.

Czytaliśmy w swoim czasie zachwycające opisy otwarcia wystawy peszteńskiej dnia 3 maja r. b.; Węgrzy obchodzili dnia tego narodowe „Święto pracy.“ To pewna, że od koronacji Franciszka Józefa na Króla Węgierskiego r. 1867 nie było w Peszcie podobnej uroczystości. Zjazd książąt, ministrów, ambasadorów i magnatów węgierskich w bogatych kostiumach narodowych podobny był do jakiejś świetnej uroczystości z dawnych czasów; obecność rodziny cesarskiej podnieść musiała tę uroczystość. Protektor wystawy, następca tronu, arcyksiążę Rudolf powitany przez dyrektorów wystawy Matlekowicza i hr. Zichy'ego, przemówił do ojca, cesarza i króla, streszczając znaczenie i zakres przedsięwzięcia i prosząc o uroczyste otwarcie. Słowa następcy tronu, wypowiedziane powęgiersku, przyjęte były gorącymi okrzykami „eljen!“ do nieskończoności. I znowu zabrzmiały okrzyki pełne zapału, gdy cesarz ogłosił wystawę za otwartą; przemówił następnie z podziękowaniem prezes ministrów Tisza, poczem cesarz, podawszy ramię następczyni tronu, arcyksiężnie Stefani, rozpoczął zwiedzanie. Powodzenie wystawy zostało zapewnione; zwiedzili ją też setki tysięcy ludzi, dostojnicy różnych krajów i głowy koronowane; zwiedzają ją też zbiorowo przedstawiciele różnych narodów.

Byliśmy świadkami przyjęcia na wystawie 1,200 Czechów. Dnia 20 Lipca w Poniedziałek od samego rana zaludniła się niezwykle Ulica Andrassego, postępowali nią goście w kierunku wystawy. Tutaj w portalu gmachu głównego czekał na nich komitet wystawy, z grona którego przemówił (poniemiecku) hr. Zichy.

„Poddajemy się śmiało — mówił między innymi — pod sąd ludzi, przybyłych zpośród narodu wysokiej kultury i cywilizacji; wejdźcie i sądźcie to wszystko, na co się zdobył duch Węgrów, duch narodu żywotnego i świadomego siebie.“ Dobrze odpowiedział (również poniemiecku) adwokat Formanek, dziękując za gościnność i zaznaczając że tylko na drodze prawdziwego wszechstronne postępu, którego właśnie Węgrzy dowody składają, uprzedzenia i zawiści plemienne ustąpić muszą. — Przy dźwiękach muzyki czeskiej, grającej szozat węgierski goście — byli to przeważnie członkowie Towarzystwa Rolniczego z okolic Kolina i Pardubic, — wstąpili w podwoje wystawy. Dalsze ostentacje dla Czechów, nie wchodziły w zakres naszego opowiadania.

Gmach główny zajmuje przestrzeń 14,000 metr. kwadrat jestto czworobok, obwiedziony galeryami. W czterech jego rogach wznoszą się cztery pawilony, a wewnątrz przecinają na krzyż dwie galerye; ponad punktem ich przecięcia, wznosi się wspaniała kopuła, 48 metrów wysoka, uwieńczona pozłacaną koroną, ponad którą powiewa narodowa cho-

ragiew węgierska, zielono-biało-czerwona. Pomiedzy obwodowymi i środkowymi galeryami potworzono wiele kurrytarzy. Gmach, zbudowany podług planu Ulrycha, z cegły, kamienia i żelaza, kosztuje 270,000 guldenów. Zdołano tu rozłożyć swobodnie liczne okazy, piętnastu grupami objęte. Niedaleko głównego wejścia mieszczą się biusty cesarza i cesarzowej, odpowiednio przyozdobione kwiatami; w środku pałacu pod kopułą bije wysoko wodotrysk napełniając szmerem najodleglejsze nawet zakątki budynku.

Wpadają przedewszystkiem w oko każdego olbrzymie organy, umieszczone pomiędzy głównym wejściem a wodotryskiem; zwraca na siebie uwagę olbrzymia piramida, z przetworów garbarskich starannie ułożona. Szafy, witryny, kioski ustawiono nader systematycznie, a rozmaitość ich nie przekracza warunków harmonii; do uzupełnienia dekoracyjnej strony wystawy przyczyniają się bukiety makartowskie, gęsto porostawiane. W galeryi i kurrytarzach, po prawej ręce od głównego wejścia, mieszczą się nisze, w których stolarze i tapicierzy umeblowali w rozmaitym stylu, guście i wartości salony, jadalnie, sypialnie, gabinety, ściągające liczną publiczność. Wyroby krawieckie mają także dużo admiratorów, szczególnież z pomiędzy cudzoziemców, dla których bogate kostiumy panów węgierskich, tudzież charakterystyczne i strojne ubiory narodowe i ludowe, najwięcej mają powabu; stroje damskie, zwłaszcza toalety balowe, starannie na manekinach porozkładane, nie zachwyliły nas zbyt, być może, że znawcy, czy znawczynie, znalazłyby tutaj więcej od nas zalet estetycznych.

Nie brak też tu kwiatów sztucznych. Bardzo bogato i pięknie przedstawiają się wyroby porcelanowe, których wartość i wdzięk podnoszą malarstwa w małych i dużych rozmiarach; malarstwo na porcelanie snadź mocno rozwinięte u Węgrów. Nie ustępuje porcelanie szkło, którego wyroby posunęto do wymarzonej subtelności. Wszelkie wyroby ze skóry, zwłaszcza siodlarskie, galanteryjne, introligatorskie zwracają na siebie uwagę; nie można przejść obojętnie około szóstki wypchanych koni, przybranych w piękną uprzęż węgierską. Dość licznie rozstawiono w obszernej nawie bryczki i powozy, nie znaleźliśmy jednak okazów, odznaczających się wykwintnem wykończeniem, jakim poszczycić się mogą powozy fabrykantów warszawskich. Marmury, szczególnież drobniagiz marmuru siedmiogrodzkiego, dość budzą zainteresowanie. Okazy drukarstwa, litografii, blacharstwa nie pozostawiają nic do życzenia; za to fotografie, wyroby jubilerskie, bronzownicze, platerowane — mniej licznych i mniej szczęśliwych znalazły przedstawicieli. Z góry już można było przewidywać, że takie rzeczy, jak artykuły spożywcze, a zwłaszcza, konserwy mięsne, głośna słonina węgierska, niepoślednie zajmą tu miejsce. Idąc za tonami fortepianu, znaleźliśmy się przy licznie nagromadzonych instrumentach muzycznych, przejęci współczuciem dla artysty ocmniałego, który widocznie przyszedł odegrać godziny, do których się zobowiązał.

Przechodzimy do nader starannie i kosztownie urządzonego pawilonu stolicy. Wszystko, na co się tylko Peszt mógł zdobyć, a nawet to, co dopiero stworzyć zamysła, zostało tu uwidocznione. Przedewszystkiem zaznaczyć tu musimy delikatność obywateli Pesztu, którzy uznali za właściwe dać napisy w trzech językach: węgierskim, niemieckim i francuzkim, podczas gdy węgierskie wyłącznie napisy we wszystkich innych budynkach wystawy, nie wyjmując głównego, wielce utrudniają cudzoziemcowi zrozumienie rzeczy. Można tu było zobaczyć miasto Peszt w miniaturze: modele istniejących już lub projektowanych budowli, jak: kościoła św. Leopolda, szpitala dla chorób zaraźliwych i t. p.; plany różne, plany niwellacyjne, projekta bruków, wodociągów; całą prawie Ulicę Andrassego w wielkiej liczbie dużych fotografii wybitniejszych gmachów i domów, odznaczających się rozmaitością stylu. Trudno doprawdy uwierzyć, jak wielkie summy wydano w ostatnich 20 latach na potrzeby i upiększenie miasta.

Miliony guldenów liczą się tutaj, jak gdzieindziej tysiące: wodociągi kosztują blisko 8,000,000

guldenów; kanalizacja kosztuje 3,000,000, a kosztować będzie jeszcze drugie tyle; bruki, któremi się rzeczywiście Peszt poszczycić może, kosztowały w ostatnich 10 latach 7,500,000 guld. Starannie bardzo przedstawiono oddział pożarny, w którym modele narzędzi pożarnych jak cacka wyglądały.

Nader starannie i bogato przedstawiono w kilku salach dział pedagogiczny: okazano bogate zbiory pomocy naukowych, szczególnież do zoologii (w 5 szafach), i modele ławek rozmaitych o ruchomych i nieruchomych siedzeniach. Zakład sierot „Elizabetinum“ wystawił łóżka, pościel, sprzęt, tudzież uniformy chłopców i dziewcząt, na pięciu manekinach; już same postacie sierot nieruchomych wywoływały współczucie. Wszystkie szkoły stolicy zgromadziły tu ćwiczenia swoje, wyroby i pomoce naukowe: przedewszystkiem zwracał na siebie uwagę dobór modeli gipsowych i mnogość rysunków, dalej wyroby szkół przemysłowych, piękne bardzo roboty uczennic szkół miejskich, którym nie wiele co ustępowały robotki szkół elementarnych, między którymi z podziwieniem zauważyliśmy śliczne hafty. Odznaczała się w poglądowy sposób wykonana wielka tablica madyaryzacyi szkół peszteńskich.

(Dokończenie nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, d. 31 Sierpnia 1885 r.

Tajemniczy wypadek Gyp'a (Pani Martel) — Kradzieże i zabójstwa w Paryżu i w okolicach. — Napad na Bohdana Zaleskiego. — Nagły rygorizm Prezydenta Gréwego. — Wykonanie wyroków śmierci. — Przyszłe wybory i kobiety wobec kwestyi wyborczej. — Odwrotna strona medalu. — P. Gérard i jego dzieło: *Sur la génération artificielle*. — Paryzka Akademia Nauk i profesor Wróblewski. — Polacy piszący po francuzku: Trawiński, Stryjeński, Szretar. — Nowa Powieść Juliusza Verne'a. — Chocera w Marsylii i w Tulonie. — Szlachetne poświęcenie się młodej kobiety. — Pogrzeb admirała Courbet'a.

W mojej miesięcznej kronice czerwcowej posłałem wam szkic, wzięty z natury, portretu pani hrabiny de Martel, znanej w literackim świecie i zawodzie pod pseudonymem Gyp'a. Nic dotąd ani w życiu, ani w stosunkach tej pisarki nie zapowiadało dramatu, albo tragedyi. Jak wiecie, Gyp, wesoły i sprytny, jeżeli lubił się śmiać i do śmiechu pobudzać czytelnika, to nigdy jednak jego szpicruta nie rozdarła boleśnie i najcięższej skórki, i nikomu też dotkliwą nie była.

W domowym życiu panowała, i dotąd panują, spokój i zgoda; dwóch chłopców, o których mówiłem, rosnie swobodnie i wesoło. Słowem, ani ściana chmury na tym jasnym i pogodnym horyzoncie. Mówiłem wam, że znakomita pisarka z początkiem lata przeniosła się na brzeg morza. Dodam tutaj, że w Paryżu mieszka przy Bulwarze Bineau, we własnym hotelu. Na początku tego miesiąca, pani Martel, dla załatwienia swoich spraw, wróciła na dni kilka do Paryża i gdy pewnego wieczora, stojąc przy oknie, wychodzącym na bulwar, patrzyła spokojnie przed siebie, nagle dał się słyszeć wystrzał z pistoletu przy bramie, i kula rozbiwszy szybę w oknie, przeszła ponad głową znakomitej pisarki i utkwiała w przeciwną ścianę.

Szczególny ten wypadek narobił trochę hałasu w dziennikach. Byli tacy, którzy utrzymywali, że to jest rzecz zmyślona i pewien rodzaj reklamy. Inni, przeciwnie, twierdzili, że to się zdarzyło istotnie. Potem ucichły wszystkie te spory i sprawa została niewytłómaczoną i w zawieszaniu; bo i sama pani wyjechała znowu nad morze. Moje wiadomości każą mi wierzyć w prawdziwość powyższego wypadku, a tajemnica, która otacza dotąd to zdarzenie, powinna być przypisaną pewnym okolicznościom, w których, jak powiadają, familijne stosunki główną odgrywają rolę. Sprawa jest obecnie w rękach prokuratora i wkrótce zapewne dowiemy się o wszystkich szczegółach. Tymczasem poprzestaniemy na tej pobieżnej wzmiance.

Zresztą nie należy się temu dziwić, że ten wypadek może być prawdziwym. Od pewnego czasu zabójstwa, napady, kradzieże zbyt się często powtarzają w Paryżu i w różnych stronach Francji. Nowe prawo o wysyłaniu „Recydywistów“ do Kajenny, prawo, które miało położyć koniec ciągle wzrastającym zbrodniom, jest tak pokrzyżowane i pokręcone, że stało się już literą marną, pierwiej, nim się zastosować dało w praktyce. Dzienniki zapełnione są sprawkami łotrzyków. Dostyć będzie przypomnieć tu, co się wydarzyło szanownemu patriarsze naszych poetów, Bohdanowi Zaleskiemu.

Jak wiecie, mieszka on w okolicach Paryża, w miasteczku Villepreux, przy kolei żelaznej z Paryża do Granyville. Villepreux jest to druga stacja za Wersalem, odległa od miasteczka o dziesięć minut drogi pieszej. Dom, w którym mieszka nasz sędziwy poeta, wznosi się zaraz przy wejściu do miasteczka, a między nim i stacją rozciągają się pola uprawne, przez które prowadzi wielka i utrzymana dobrze droga od kolei żelaznej.

Bohdan Zaleski całe swe życie miał wrok bardzo krótki. Dziś, w podeszłym wieku, rozwinęła się jeszcze katarakta, tak, że czcigodny starzec jest prawie ciemnym. Ale ponieważ, mieszkając tu od lat tyłu, zna doskonale drogę i okolice swojego domu, w piękne więc dni, ku wieczorowi, wychodzi czasem na przechadzkę w pole. Otóż, niedawno temu, około godziny 5 czy 6-iej z południa, a więc w dzień biały, wyszedłszy, jak zwykle, na wieczorną przechadzkę, tuż około domu zaskoczony został od zbrojcy, który zapewne już na niego czatował. Zbrojca zażądał najpierw jałmużny, a kiedy Zaleski odpowiedział mu, że nie ma nic przy sobie, potrafił go brutalnie i, porwawszy za łańcuszek złoty, wyrwał mu go wraz zegarkiem z kieszeni. Zegarek był pamiątką drogą dla poety, ofiarowaną mu przez jego wielbicieli i przyjaciół. Przerazony i głęboko wzruszony tym napadem, biedny starzec wrócił drżący do domu, a złodziej ulotnił się, jak kamfora! Wiadomo tylko, że zegarek został zastawiony w Mont de Piété w Paryżu—i nazajutrz wykupiony przez jakiegoś handlarza staroświeckiego, ale na tém się kończy już cała wiedza policyjnej śledczej.

Czy to z powodu ciągle wzrastającej liczby spraw kryminalnych, czy z nudów i beczynności, czy też, aby zapieczętować energicznie kończące się w tym roku piastowanie najwyższej władzy, p. Grévy, który dotąd z trudnością wielką podpisywał wyroki śmierci, podpisał ich aż trzy odrazu w Paryżu, a pomiędzy nimi wyrok skazujący na śmierć owego słynnego Marchanda'a, lokaja z professyi, zabójcę w chwilach bezrobocia, o którym była mowa w jednym z mych poprzednich listów.

Tak niezwykle rygorystyczny prezydent zadziwił tu wszystkich, a głównie samych zbrodniarzy, trzymany pod kluczem, którzy liczyli na Grévego, jak na cztery tuzy... Mieć bowiem w perspektywie podróż i osiedlenie w Kajennie, z nadzieją dorobienia się nawet majątku, stanowiło w bilansie kryminalistów pewną rubrykę sperandy, która się wielu lotrom wdzięcznie uśmiechała. Wignanie dla poczciwego człowieka jest to straszliwe nieszczęście, ale dla lotra jest to sposób rozwiązania trudnej kwestyi *Struggle for Life*.

W dniu 4 Października rozpoczynają się we Francji wybory powszechne do Izby Poselskiej. Jest to rzecz ważna: nie więc dziwnego, że zaprzęta wszystkie umysły już dzisiaj. Co wyjdzie z urn wyborczych? nikt tego nie zgadnie, przecież Republikanie otrzymają niechybnie większość, chociaż może połowa tych, którzy składali przeszły parlament, wybrany w r. 1881, a przez samego Gambettę napiętnowany przydomkiem: *Szajki podkonowalów*, zostanie prawdopodobnie na placu bitwy. Zdeskrydetowani, wyszydzeni, niejedni z nich znikczemniały—są oni dotykającym przykładem tego zbroczenia zdrowego rozumu, które tak często się zdarza w społeczności, opartej jedynie na zasadach niedojrzałej, źle pojmovanej, demokracji.

Tymczasem w liczbie coraz-to nowych program-

matów wystąpiła i kwestya przyznania praw politycznych wyborczych kobietom. Podniesiona przez dzienniki najsłabszych opinii, przyjęta została dość zimno przez najbardziej interesowane osoby w tym względzie, bo same przedstawicielki płci pięknej. Jako przyszłe „poselki“ kandydowały obecnie panie: Deraimes, Hubertyna Auclerc, Ludwika Michel i t. d.

Większość przedstawicieli piękności utrzymuje z wielką słusnością, że nim będą mogły zostać przedstawicielkami narodu, potrzeba będzie pierwiej rozwiązać główną zasadniczą kwestyą prawodawstwa, które dotychczas o kobiecie słyszeć nawet nie chce. Dopóki prawa polityczne kobiety nie będą jasno wpisane do księgi praw Francji, dopóty stawianie kandydatur, wzniesienie całego ruchu wyborczego, będzie tylko igraszką. Wielu bardzo ludzi poważnych, doświadczonych i światłych, nie waha się uważać uprawnienia politycznego kobiety za rzecz wielkiej doniosłości i wagi. Tym, co zarzucają, że mało jest kobiet poważnych i rozumnych prawdziwie, odpowiada się, że mniej jeszcze jest mężczyzn, mających do tej kwalifikacyi zupełne prawo. Dostyć jest spojrzeć na to, co się dzieje w każdym domu, w każdej rodzinie, gdzie, na osmdziesiąt małżeństw, cały los rodziny spoczywa najczęściej w macierzyńskich rękach kobiety. Zapewne, że nie wszystkie staną do wyborów, ale w liczbie tych, co staną i będą wybrane, większość stórazy będzie więcej warta, niż większość owych „podkonowalów“, etc.. *Dixi*.

Niejaki p. Gérard, lekarz, nieznan tu wcale, jako naukowa powaga, więcej w celu reklamy zapewne, niżeli pożytku nauki, napisał broszurę, pod tytułem: *Sur la génération artificielle* i podał ją pod rozwagę Akademii Medycznej. Tu widzimy zaraz, że dzieło przyjęte zostało, stosownie do swej wartości. Akademia nietylko odmówiła przyjęcia tej broszury, ale nawet nie chciała słuchać żadnej, najmniejszej explikacyi w tym względzie. Takie są, niestety! prawa postępu. Obok człowieka męża, który postawi jeden krok ważny na tej drodze, ileż-to susów i kominków, dawanych co chwila przez tę zgraję głupich zajączków, którym się zdaje, że idą naprzód, dlatego, że biegną prędzej od innych.

Nie wychodząc z przedsióneków akademickich powiedzmy kilka słów o odpowiedzi p. Zygmunta Wróblewskiego, uczynionej p. J. Jamin'owi, sekretarzowi generalnemu Akademii Nauk w Paryżu.

P. Zygmunt Wróblewski jest profesorem fizyki w Uniwersytecie Krakowskim. Czytelnicy pamiętają zapewne, że, rok temu, p. Wróblewski napisał rozprawę o *Sprowadzeniu powietrza w stan płynny*; doświadczenie, którego dokonał on pierwszy, po wielu bezskutecznych próbach uczonych fizyków świata całego, było pierwszym, które się uwieńczyło zwycięstwem. Rozprawę w tym przedmiocie p. Wróblewski złożył Akademii Nauk w Paryżu. Wywołało to zaraz niejakie protestacye uczonych w jej łonie. Usiłowali oni dowiedzieć, że wynalazek ten, a raczej odkrycie, należy się pierwotnie uczonym Francuzom; wywiązał się ztąd spór o pierwszeństwo odkrycia, a p. Jamin, uczony sekretarz Akademii Nauk w Paryżu, przyjął na siebie obowiązek streszczenia całego przebiegu tej sprawy i w artykule, napisanym z właściwą mu powagą i znajomością przedmiotu, ogłoszonym w *Revue des deux Mondes*, występując otwarcie przeciw p. Wróblewskiemu, oskarżył go prosto naszego ziomka, że, podchwyciwszy sekret tego odkrycia, uczyniony przez uczzonego francuzkiego nazwiskiem Cailletet, przyswoił sobie jego metodę, użytkował wynalezione przez niego przyrządy—jednym słowem: dopuścił się kradzieży naukowej.

Tak gwałtowne i ważne oskarżenie nie mogło pozostać bez odpowiedzi. Broszura więc p. Wróblewskiego, napisana po francuzku, pod tytułem: *Comment l'air a été liquéfié. Réponse à M. Jamin* i t. d. — jest właśnie tą odpowiedzią na dziwne i niesprawiedliwe oskarżenie naszego ziomka przez p. Sekretarza Generalnego Akademii Nauk.

Ktokolwiek obeznany jest choć trochę z naukami przyrodzonymi, ten czytając zarzuty p. Jamin'a i odpowiedź na nie p. Wróblewskiego, nie

będzie miał najmniejszej wątpliwości, po czyjej stronie jest uczciwość naukowa i prawda. Nasz uczony ziomek nie przeczy wcale, że myśl obrócenia powietrza w stan płynny nie oddziały zajmowała uczonych; że p. Cailletet, jak inni, zajmował się tym przedmiotem i szukał sposobu do urzeczywistnienia tej myśli. Nie ulega i to żadnej wątpliwości, że ten uczony, jak innych wielu, wskazywał środki, mogące doprowadzić poszukujących do rozwiązania zagadnienia; że wynalazł pewne przyrządy. Wszystko to jest możliwe; ale niezawodną również jest prawdą, że odkrycia szukanego nie dokonał, że powietrza do stanu płynnego nie sprowadził. W tem jest cały grunt i prawda!.. każdy wynalazek, każde odkrycie naukowe, miało i zawsze mieć będzie swoje pierwsze, jakby jeszcze omackiem prowadzone, poszukiwania. Niema żadnego wynalazku na świecie, który-by nie miał swego dalekiego zamglonego exodu, bez którego-by w jednej chwili, jak Minerwa w całym uzbrojeniu, wyszedł z głowy myśliciel!.. Słusznie więc powiada p. Wróblewski: „W jakim-że stanie była-by dziś nauka, gdyby Ampère nie miał prawa zajmować się doświadczeniami, czynionymi przez Oersteda, gdyby Faraday był zmonopolizował na swój rachunek prawo indukcji, i gdyby pp. Kirchhof i Bunsen poczęli sobie podobnie co do analizy spektralnej?“

P. Cailletet, z obawy właśnie, aby go kto nie uprzedził w tej mierze, złożył w Akademii Nauk pod pieczęcią opis doświadczeń, wykonanych przez siebie, i doświadczeń, które uważał za podobne do wykonania, ale których przecież nie dokonał. P. Cailletet, słysząc później, że doświadczenia w tym względzie prowadzone są czynnie przez innych uczonych, zażądał od akademii otwarcia opieczętowanych dokumentów, trochę może zawczesnie, bo się z nich pokazało, że to, co on wskazywał jako skutek otrzymany i pewny, było tylko hipotezą, urojoną i błędną.

(Dokończenie nastąpi)

Z DZIAŁU PRZYRODY

Kronika najnowszych odkryć naukowych i wynalazków.

Nowe spostrzeżenia na Marsie. — Gaz błotny skroplony i jego zastosowania. — Telefon wymierzający temperaturę z odległości. — Użyteczność jego w sygnalowaniu wyniku pożaru. — Przyrząd Tommasi'ego. — Prom parowy w Melbourne — Chlorozon. — Analiza wina czerwonego za pomocą elektryczności. — Badania Dra Ballay dotyczące wielkiej rzeki afrykańskiej Ogowe — Szczeplenie zarazka febrzy żółtej — Nowy proces nikielowania cynku. — Wydzielanie z rudy drogiej metali za pośrednictwem elektryczności. — Żywe pochodnie.

Planeta Mars pod każdym względem zasługuje na bliższe poznanie się z nią mieszkańców Ziemi. Warunki w jakich istnieje tam przyroda, jej elementa, czerwona lądy, sine morza, atmosfera, góry i skały, są w tym stopniu zbliżone do istniejących na ziemi, że wnioskować-by wypadało o rozwoju na tej planecie jestestwa organicznych mniej więcej podobnych ziemskim. Jest to zresztą wniosek zgodny z poglądem tak wielkich myślicieli i astronomów, jakimi byli Kant, Kepler, Lambert i Laplace. Studya też astronomiczne dokonywane są corocznie nad Marssem; poświęca się im z osobliwszem miłośnictwem Trouvelot, w obserwatoryum w Meudon. Ostatnie zwłaszcza jego obserwacye, odbyte w Marscu są tem ciekawsze, że Mars przedstawiał wówczas swą półkulę północną widoczną całkiem dla ziemi.

Trouvelot rozpoznał i określił prawie wszystkie plamy widoczne na półkuli północnej, rozciągające się aż do plamy biegunowej; pozostawiało mu tylko wykryć plamy istnieć mogące, osłonięte mgłą gęstą. Ponieważ dopiero w trzy miesiące po letniem porównaniu dnia z nocą na półkuli południowej, Trouvelot mógł dostrzegać znikającą zupełnie plamę południową, więc można było mieć nadzieję rozpatrzenia się i w tych plamach, osłoniętych lodami biegunowymi, w miesiącu Sier-

pnium. Porównanie dnia z nocą letnią na półkuli północnej Marsa zaszło 13 Maja.

Trouvelot obserwował tę plamkę tak długo, jak była widoczna i opracował wzorowo jej kartę areograficzną.

Półkula północna Marsa jest mniej zasobną w ciemne plamy od półkuli południowej, w ten sposób, że z wyjątkiem mórz Knobel, Tycho i Airy, oraz plam ciemnych otaczających plamę biegunową, wszystkie inne nie mają wielkiego znaczenia. Rozległe lądy tej półkuli pokryte są jednak plamami szaremi, mniej lub więcej wybitnymi. Ze zmian, jakim ulegają corocznie owe plamy, wnosić należy, że pochodzą one z wegetacji wytwarzającej się wskutek kolejno występujących na Marsie pór rocznych. Wiele też wybitne zmiany zachodzą w plamach ciemnych na półkuli południowej, a w szczególności w plamie w postaci półksiężycy, znajdujące się na północy Morza Terby pod 85 stopniem długości i 8 stopniem szerokości południowej. Plama ta w 1877 roku była zaledwie dostrzegalną, obecnie zaś jest wielce pokazną i tak prawie czarną, jak sąsiednie jej Morze Terby.

Ze względu, że gaz błotny skrapla się trudniej od etylenu, wnioskowano, że dawać on winien temperaturę pośrednią pomiędzy 144 a 184 stopniem niżej zera. W tym celu professor Wróblewski badał własności tego gazu.

Gaz błotny, skroplony w wielkiej ilości za pomocą octanu sody stopionego i wapna połączonego z sodą, a temsamem zawierający wiele ciał obcych, a między innymi wodór, jest płynem prawie tak przezroczystym i bezbarwnym, jak etylen. Ciężkość jego gatunkowa w stosunku do wody w temperaturze 4 stopni powyżej zera wynosi 0,37.

Gaz ten może być przelewany, jak etylen, i znosić ciśnienie atmosferyczne nie przechodząc w stan stały. Podczas wrzenia temperatura jego utrzymuje się pomiędzy 155 a 160 stopniem niżej zera, według termometru stustopniowego.

Jako ciało oziębiające gaz błotny jest nieoszacowanym, zajmuje bowiem pośrednie miejsce między etylem a tlenem płynnym.

Tlen, powietrze atmosferyczne, azot i tlenek węgla, oziębione za pośrednictwem tego gazu, mogą być z łatwością skraplane pod słabym nawet ciśnieniem.

Doktor Lenz podaje nowe zastosowanie telefonu: a mianowicie, do wymierzania temperatury z odległości.

Wyobraźmy sobie dwie stacje połączone z sobą dwoma drutami, jednym żelaznym, drugim srebrnym, spojenymi w obu końcach. Jeżeli jedno spojenie pozostaje w temperaturze różniącej się od temperatury drugiego, to bezzwłocznie krążyć zacznie przez te druty prąd termo-elektryczny. Przyrząd przerywający ten obieg, gdy zostanie do niego wprowadzonym wraz z telefonem, to ten ostatni będzie funkcjonował aż do chwili, w której obserwator na drugiej stacji podwyższy lub zniży temperaturę spojen w tym stopniu, że ta będzie na obu stacjach identyczną. Gdy to nastąpi, prąd elektryczny krążyć przestanie.

Dokładność tej metody polega na ścisłym oznaczeniu chwili, w której telefon przestaje funkcjonować, gdyż pewne brzmienie trwa jeszcze przez jakiś czas po zrównaniu temperatur w obu końcach przyrządu. W pierwszej seryi doświadczeń, gdy dwie stacje pozostawały od siebie w odległości jednego metra, Lenz oznaczył temperatury z wielką dokładnością; błąd popełniony

przezeń dochodził tylko od jednej do siedemnastu setnych stopnia. Wnioskuje on ztąd, że przy użyciu drutów żelaznego i srebrnego, grubości dwóch milimetrów, można będzie dokonać wymiaru temperatury z odległości pięciu kilometrów, i że ta odległość powiększyć się da do 25 kilometrów przy użyciu drutów z bizmutu i antymonu.

W pewnych granicach galwanometr może służyć do tychżesamych wymiarów.

Najważniejszą wszelako rolę spełniać będzie przyrząd Lenza w sygnalowaniu wynikłego pożaru.

Przyrządowi Lenza nie ustępuje wynalazek Tommasiego.

Wiadomo, że elektryczność, równie jak każda inna siła, w niektórych razach przedstawia pewne niedogodności, a między innymi rozprzeczanie się nadmierne machin elektrycznych i przewodników. Dotąd nie posiadamy żadnego środka zapobiegającego radykalnie tej wadzie; Tommasi zarządził temu mechanizmem zaznaczającym wszelkie podwyższenie temperatury w drutach przesyłających prąd elektryczny. Za pomocą więc tego przyrządu zabezpiecza się od zepsucia machiny dynamo-i magneto-elektryczne i uniemożliwia pożary miejscowe.

Przyrząd Tommasiego składa się ze skrzyni z materji izolującej, w której funkcjonuje słaba sprężyna spiralna, wywołująca lekkie tarcie. Kubek metalowy, ulegający również łagodnemu tarcu, pozostaje w bezpośrednim zetknięciu z jednym końcem sprężyny i mieści w sobie warstwę materji izolującej topliwej, takiej, jak stearyna, parafina i t. p., uderzającej o drut miedziany głównego obiegu, zgięty w postaci litery U i utrzymujący sprężynę w jej pierwotnym układzie.

Jak tylko wytworzy się nadmiar ciepła, drut obiegu głównego rozgrzewa się i stapia materję izolującą; zetknięcie się tego drutu z kubkiem następuje za pośrednictwem sprężyny i w ten sposób zamyka obieg stosu miejscowego, oddziałującego na dzwonek sygnałowy. Przyrząd pomieszczony w sąsiedztwie tego dzwonka dozwala wówczas przerwać natychmiast prąd stosu miejscowego, a jednocześnie lampa elektryczna, pomieszczona na drodze obiegu, której szkło zabarwione jest kolorem czerwonym, rozpala się i daje nowy sygnał ostrzegający o niebezpieczeństwie.

Drugi mechanizm automatyczny dozwala za otrzymaniem tego sygnału otworzyć obieg główny i tym sposobem zapobiedz pożarowi i zniszczeniu machin w nieobecności człowieka. Drugi ten przyrząd składa się z elektromagnesu Hughes'a, pomieszczonego w obiegu głównym. Funkcjonowanie jego łatwo zrozumieć. Dopóki prąd u stosu miejscowego nie przepływa, to magnes w kształcie podkowy przyciąga armaturę i zamyka obieg główny; gdy zaś da się słyszeć sygnał, prąd miejscowy przepływa przez cewki i zubojeżnia magnes naturalny, który bezzwłocznie przestaje przyciągać armaturę, obieg więc zostaje przerwany. Korzyści systemu Tommasiego są widoczne; zapobiega on natychmiastowo skutkom rozgrzania się machin dynamo-i magneto-elektrycznych, oraz drutów.

Tommasi wynalazkiem tego małego i niekosztownego przyrządu oddał niepospolitą usługę tym wszystkim, którzy zajmują się urządzeniem machin elektrycznych, do oświetlania, galwanoplastyki, i innych zastosowań elektryczności.

Prom parowy, *Ferry-boat*, wielce ciekawej konstrukcji, zbudowano w Melbourne w Australii.

Rzeka Jawa tworzy tam dość poważną przeszkodę w komunikowaniu się jednej dzielnicy miasta z drugą, gdyż jest szeroka i przerzyna na poły Melbourne. Most Falls, jedyny, jaki ośmielono się na niej zbudować, jest zbyt odległym i dotrzeć do niego można nieinaczej, jak drogami bocznymi kołowami, co naraża na wielką stratę czasu. Z tych-to względów miasto postanowiło zbudować prom parowy. Pomimo wielkich wymiarów ferry-boat melburski nie przewozi pociągów dróg żelaznych, lecz poprostu wozy naładowane towarami i podróżnych z jednego brzegu rzeki na drugi.

Dla ułatwienia pasażerom i pakunkom wejścia na statek, prom ma kształt kwadratowy. Opatrzonym jest on z obu stron trzema pomostami pozwalającymi łączyć go z dwoma pobrzeżami rzeki. Trzy te pomosty są o tyle szerokie, że pomieścić mogą wielkie wozy i konie, które tu znajdują równe bezpieczeństwo, jak na lądzie. Potężnej siły machina motorowa nadaje ruch przenośny promowi, najbardziej nawet obciążonemu, a cały przewóz trwa zaledwie kilka minut. Co do tego promu parowego, winniśmy dorzucić kilka słów o sposobach używanych dla zapewnienia łatwego przechodzenia z jednego brzegu na drugi przez rzeki lub odnogi morskie, przerzynające wielkie miasta. Oprócz promu w Sacramento w Ameryce przytaczamy misternie zbudowany most ruchomy w Saint-Malo, łączący toż miasto z grodem Saint-Servan, od którego przedziela je odnoga morska. Most ten jest zbudowany u wejścia do portu; wznosi się on do wysokości 10 metrów ponad poziom morza, a posuwając się po szynach ciągnie łódź z jednego brzegu na drugi. Ruch mu nadaje machina parowa stała.

(Dokończenie nastąpi).

Tom III-ci Wydania zbiorowego

PISM

NARCYZY ŻMICHOWSKIEJ

(GABRYELLI)

Wyszedł z druku, nakładem wydawcy *Bluszczu*, i zawiera:

Książka pamiątek, czytana przy kominkowym ogniu.

List nie wiem czy i nie wiem dla kogo.

Adeodat na puszczy, w salonie, pod strychem, na ulicy, w chałupie, na cmentarzu.

Kwestya podrzędna, przy kominkowym ogniu rozbiegana.

Prenumerata na całe wydanie składać się mające z 5-ciu tomów, wynosi:

W Warszawie 5 rs. (można wnosić częściowo po 1 rs. co kwartał przy odbiorze tomu).

Z przesyłką pocztą za każdy tom liczy się 1 rs. 10 kop.

Nadsyłający odrazu prenumeratę na wszystkie 5 tomów płacą tylko 5 rs.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 5-ty powieści pod tytułem: *Kora*, przez Mrs Forrester

TREŚĆ. Pogawędka. — Fryc i Frycek, nowella, przez Michała Wołowskiego. — Ostatnie utwory Jokay'a, przez Maryą Ilnicką. — Kartki z wycieczki do Peszu, (dalszy ciąg). — Nowiny paryżkie. — Dział przyrody, przez W. Niewiadomskiego.

Dodatek obejmuje: Arkusz 5-ty powieści pod tytułem: *Kora*, przez Mrs Forrester. — 24 wzorów ubiorów i robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie — Dyspozycyą stołu.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 26

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою,
Варшава, 4 Сентября 1885 года.

Kołnierzyk z żabotem.

Rycina Nr 1.

Na zrobienie kołnierzyka trzeba 15 cent. szeroki, a 40 cent. długi kawałek crêpe-lisse, ufałdować do 7 cent. szerokości, zrobić z tyłu fałdkę, końce ściąć skośnie, a do dolnego brzegu przyszyć dwie, leżące jedna na drugiej uplisowane falbanki, 6 i 5 cent. szerokie i oszyte 5 cent. szeroką koronką. Dwa 43 cent. długie, u dołu ścięte skośnie i oszyte koronką kawałki crêpe-lisse, zmarszczyć i przyszyć do kołnierzyka podług ryciny, przyszyć zaś podobnie jak przyszyć dwóch falba-



Nr 1. Kołnierzyk z żabotem.

Torebka do roboty ścięciem płaskim i w rybią łuszczkę.

Rycina Nr 5 i 6.

Torebka składa się z pasów kremowej gazy i satyny w kolorowy desień, przybrana haftem i objęta pluszową plisą i jedwabnym sznureczkiem. Haft wykonywa się na każdym z pasów podług ryciny 5, która część jego przedstawia w naturalnej wielkości, filozellą i złotem, ścięciem płaskim i w rybią łuszczkę, następnie trzeba ściąć rogi z tej strony, która ma zakładać się na wierzch, objąć torebkę pluszową plisą, dodać podszewkę i 14



Nr 2. Suknia z kaszmiru i aksamitu. Przód. (Do ryc. 3).

nek, zakryć 6 cent. szeroką złotą torśadką, a z przodu metalową agrafką.

Suknia z kaszmiru i aksamitu.

Rycina Nr 2 i 3.

Spódnica z podszewki, pokryta jest z przodu u góry na 20, a u dołu na 30 cent. szeroko ciemno-brązowym aksamitem, a dalej drugą, 4 metry szeroką spódnicą z jasno-brązowego kaszmiru. Stanik formą gorscika z aksamitnym napiersznikiem i fałdowaną bluzką, oraz rękawami z kaszmiru. Aksamitny kołnierzyk i mankiety dopełniają htanika, zapiętego z lewej strony na saftki.



Nr 4. Suknia z etaminy i satin-merveilleux. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr IV, fig. 14—20.



Nr 3. Suknia z kaszmiru i aksamitu. Plecy.

centim. wysokie boczeki, oszyć sznurkiem, przyszyć guziki i przeciąć odpowiednie dziurki i obhaftować te ostatnie ścięciem langietkowym.

Koszyczek do kluczyków.

Rycina Nr 7. Deseń odwr. str. tabl. Nr IV, fig. 27.

Wyplatany ze trzciny i połączony koszyczek, pokryty z wierzchu oliwkowym pluszem, który w miejscach przeznaczonych na podłużne strony, ozdobiony haftem. Na zrobienie haftu trzeba przedewszystkiem przenieść na plusz deseń, przedstawiony na fig. 27, objąć kontury złotym sznu-

reczkiem, przymocować go poprzecznymi ścięgami, pasową filozellą; kwiaty i pączki zahaftować płaskim ścięciem, niebieskim jedwabiem, podestawszyszy je wprzód mocno białą bawełną. Przyszyć pluszu do brzegów koszyczka, zakryć ściśle jeden przy drugim umieszczonymi bombelkami, z ciemno-pasowego jedwabiu. Takież bombelkami i grełotkami przybrany pałaczek koszyczka podług ryciny.

Karczek do koszuli tasiemeczką point-lace i robotą szydełkową.

Rycina Nr 10.

Karczek podany pod ryc. 10 w Bl. Nr 36, którego część w naturalnej wielkości podaje ryc. 10 w niniejszym numerze, zrobiony z tasiemeczki point-lace i nici Nr 60, zakończony u góry koroneczką, przez oczka której przeciągnięta kolorowa wstążeczka. Na karczek trzeba uciąć cztery 42 cent. długie kawałki tasiemeczki i połączyć je kilkoma rzędami szydełkowej roboty. Kolej 1 z jednej strony pierwszej tasiemeczki: 1 ściś. ocz. w brzezną dziurkę tasiemeczki, * 2 razy naprzemian: 7 ocz. pow., opuścić 3/4 cent. długi odstęp i 1 ściś. ocz. w brzezną dziurkę, potem 3 pow. o., 2 podw. słu. ściągnięte w jedno ocz., w tę samą dziurkę brzegu, w którą zrobiono ostatnie ściśle ocz., 2 podw. słu. ściągnięte w jedno ocz. w odpowiednią dziurkę brzegu, 3 pow. ocz., 1 o. ściś. w to samo miejsce, w które zrobione 2 słu. podw.; od * powtarzać. Na drugiej stronie drugiej tasiemeczki robi się także kolej, przyczem



Nr 6. Torebka do roboty ścięciem pocztowym i w rybią łuszczykę. (Do ryc. 5).



Nr 8. Trzy znaki do bielizny.



Nr 5. Część haftu do torebki ryc. 6 Wielkość naturalna.

środkowem ocz. z 7 pow. ocz. zaczyna się odpowiednio ocz., a podw. słu. o podw. słu. poprzedniej kolei. W podobny sposób połączone są 2 i 3, oraz 3 i 4 tasiemeczki; na tylną część karczka potrzebne 38 cent., a na rękawy 45 cent. długie kawałki tasiemki. Po zeszytciu każdego rękawa (przyczem poprzeczna strona zeszywa się z podłużną, przez co formuje się klin) przyszyć do nich przód i tył karczka podług ryciny i robić u góry kolej 1 ciągle naprzemian: 2 słupek w brzezną dziurkę, 5 powietrznych oczek, odpowiedni odstęp, w każdym zaś rogu robi się 2 słupek ściągnięte w jedno oczko, a na końcu 1 ocz. ściś. w pierwszy słupek tej kolei. Kolej 2: 2 ściś. łańc. ocz. w najbliższe 2 ocz. poprzedniej kolei, 1 ściś. ocz., potem ciągle naprzemian: 14 słu. podw. z których 2 środkowe przedzielone 3 pow. ocz. o najbliższe 5 pow. ocz., 1 ściś. ocz. o następne 5 pow. ocz., na końcu 1 ściś. łańc. ocz. w pierwsze ocz. ściś. tej kolei. Kolej 3: 2 ocz. ściś. łań.

w 2 ocz. poprzedniej kolei, 5 pow. ocz., * 2 razy naprzemian: 1 słupek w co drugie ocz., 2 pow. ocz., potem 3 słu. przedzielone 2 pow. oczk. w środkowe z następnymi 3 pow. ocz., 2 pow. ocz., 1 słupek w następne trzecie ocz., 2 pow. ocz., 1 słupek w drugie ocz., 2 pow. ocz., 1 podw. słupek w drugie ocz., 1 słupek ściągnięty z poprzednio zrobionym w 1 oczko o 2 słu. z 14 słu. poprzedniej kolei, 2 pow. o., od * powtarzać, na końcu nie robić słupek i 2 pow. ocz., a ściągając w 1 oczko dwa słu., zabrać jednocześnie 3 ocz. z 5 pow. o. tejże kolei. Kolej 4: 1 ściś. ocz. o 2 najbliższe ocz. pow., 7 razy naprzemian: 4 pow. o., 1 ściś. ocz. o 2 pow. o. od * powtarzać, a na

końcu 1 ściś. łań. ocz. w pierwsze o. tej kolei. Dolny brzeg karczka objąć jedną koleją: 1 słupek w dziurkę brzezną tasiemeczki, 1 pow. ocz. w odpowiednim odstepie znowu 1 ściś. ocz. i t. d., ujmując lub dodając na rogach stosownie do potrzeby, na końcu 1 o. ściś. łańc. w pierwsze ocz. tej kolei.

Dywan smyrneński ścięciem.

Rycina Nr 12 Wzór pierw. str. tabl. Nr 5.

Dywan na grubej kanwie, włóczką smyrneńską, ścięciem supelkowym, podług ryc. 5 na tablicy, która podaje wzór środkowego haftu, oraz podłużny i poprzeczny szlak (sposób wykonania tej roboty podaliśmy w roku zeszłym w N-rze 7), a po wykonaniu haftu podszyć dywan mocną podszewką.

Serwetka ścięciem krzyżowym.

Rycina Nr 13 Wzór pierw. str. tab. Nr 15.

Serwetka z materiału „Aida“, ozdobiona haftowanym szlakiem i frendzlą. Rycina 15 na pierwszej stronie tablicy podaje wzór szlaku, haftowanego w odstepie 20 cent. od brzegu, szafirową bawełną w dwóch cieniach, następnie wysiepać pozostawiony materiał u brzegu i zrobić trzy rzędy podwójnych supelków, każdy z 16 końców, przyczem 8 środkowych służą jako podłożenie, a boczne do wiązania supelka.

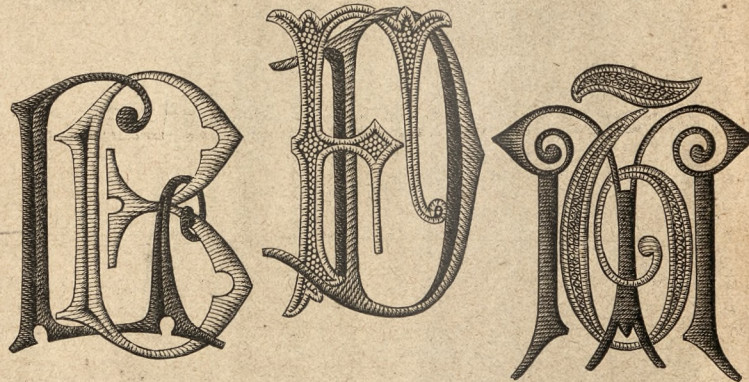


Nr 7. Koszyk do kluczyków. Wzór odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 27

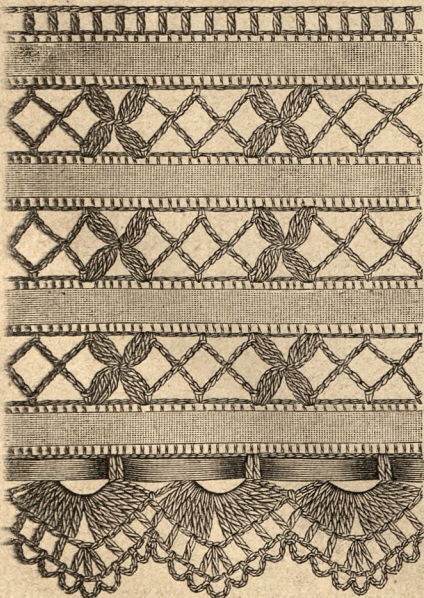
Krzesło do bujania.

Rycina Nr 14. Wzór pierw. str. tabl. Nr 6.

Krzesło bronzowo



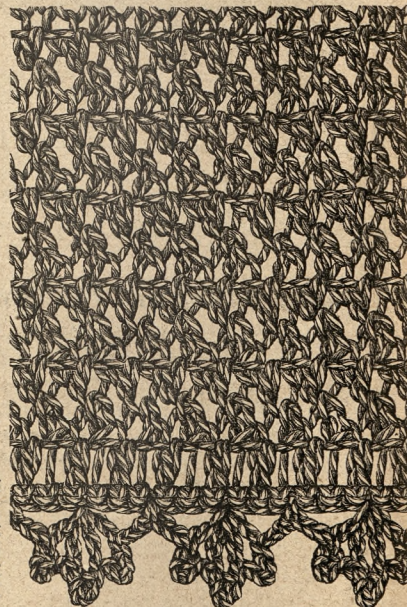
Nr 9. Trzy znaki do bielizny.



Nr 10. Część karczka do koszuli ryc. 9 w Bl. Nr 36 tasiemeczką point-lace i robotą szydełkową. Wielkość naturalna.



Nr 12. Dywan ścięciem smyrneńskim. Wzór pierw. str. tabl. Nr 5.



Nr 11. Część tła kapturka ryc. 16 szydełkową robotą.

politurowane. pokryte przez środek pasem haftowanym na kanwie, podług ryc. 6 na pierwszej stronie tablicy podanej. różnobarwną włóczką. ścięciem krzyżowym, a pozostałe boczne części, oraz oparcie dla ręki, oliwkowym pluszem pikowanym guziczkami i ozdobione dużymi kwastami i frendzlą. Oprócz tego z przodu krzesła znajduje się mały, pluszem pokryty podnóżek, który podtrzymują dwa rzemienie, założone o haczyki podnóżka i zaopatrzone w guziki i dziurki, służące do skrócenia lub podłużenia podnóżka.

Rzeźbione krzesło ozdobione haftem.

Rycina Nr 15. Wzór pierw. str. tabl. Nr 7—9.

Krzesło rzeźbione z orzechowego drzewa, poduszka siedzenia i poręczy ozdobiona haftem na kanwie pasową, zieloną i brązową włóczką w kilku cieniach, oraz białą i żółtą filozelą, ścięciem krzyżowym. Rycina 8 na pierwszej stronie tablicy podaje wzór połowy haftu na poduszce siedzenia; ryc. 7 połowę wzoru na poduszkę do oparcia, a rycina 9 część haftu, którym są ozdobione poręcze. Po wykonaniu haftu oszyć każdy kawałek sznurem, a potem pasem kolorowego pluszu, przymocować do krzesła, zmarszczyć na rogach i pośrodku i przypiąć włóczkowymi bombelkami podług ryciny.



Nr 14. Krzesło do bujania z haftowanym pasem. Wzór pierw. str. tabl. Nr 6.

Nr 13. Serweta ścięciem krzyżowym. Wzór pierw. str. tabl. Nr 15.



Nr 16. Kapturek dla dziewczynki od 1 do 2 lat robotą szydełkową. (Do ryc. 11).

Kapturek dla dziewczynki od 1 do 2 lat szydełkową robotą.

Rycina Nr 11 i 16

Kapturek z różowej włóczki, podszyty różową podszewką i objęty koronką; nad czołem odwinięty na tył, z przodu i z tyłu ściągnięty na różową atłasową wstążkę, której końce związane na karkdę; takąż wstążką służy do wiązania pod brodą.

Kapturek przedstawia czworograniastą chusteczkę, która robi się tam i napowrót, podług ryc. 11, na założeniu z 89 oczek. Kolej 1: 3 najbliższe ocz. opuścić, * z oczkiem na szydełku wziąć 2 ocz. z następnych 2 ocz. założenia, przerobić je za jedno, a potem jeszcze to, które znajduje się na szydełku, dalej 1 pow. ocz.; od * powtórzyć. Kolej 2: 3 pow. ocz. wziąć 1 ocz. z pierwszego z nich i 1 z петельki znajdującej się przed następnym ocz., przerobić je razem, a potem z oczkiem znajdującym się na szydełku, * 1 pow. ocz., wziąć jedno ocz. z najbliższego ocz. i 1 z петельki znajdującej się przed następnym ocz., przerobić oba razem, a potem jeszcze z ocz. znajdującym się na szydełku, od * powtarzać. Kolej 3 do 62 jak poprzednia. Koronka robi się następnie: Kolej 1 ciągle naprzemian: 1 ści. ocz. w każde o. brzeżne, a na rogach 3 ocz. w 1 o. Kolej 2: * 2 pow. ocz., 4 słupki przedzielone 1 pikotem (t. j. 4 o.



Nr 15. Rzeźbione krzesło z pokryciem ozdobionym haftem. Wzór pierw. str. tabl. Nr 7 do 9.



Nr 17. Szlak do prześcieradła ścięciem płaskim i ażurowym.

pow. i 1 ściśle oczko w pierwsze z tychże) w następne 3 ocz., 2 o. pow., 1 ocz. ścis. w 3 oczko. od * powtarzać.

Sukienka dla dziewczynek od 2 do 3 lat.

Rycina Nr 18 i 20

Sukienka z żółtawej etaminy, na pąsowej satinetowej podszewce, przybrana aplikacją z pąsowego zefiru i kokardami z atlasowej wstążki tegoż koloru, u dołu wycięta w zęby dziergane białą bawełną.

Suknia z koronki i „satin-merveilleux“.

Rycina Nr 19.

Spódnica z czarnego „satin-merveilleux“, oszyta u dołu plisowaną falbanką, a pokryta drugą, 360 centim. szeroką spódnicą z koronkowego materiału, naszytą perełkami i zmarszczoną u góry. Krótki, na boku zapinany stanik, przybrany marszczonym napiersnikiem i pasmanterią z jedwabiu i czarnych perełek.

Sukienka dla paniąki od 14 do 16 lat.

Rycina Nr 21 i 23.

Pierwsza spódnica zrobiona z materiału w pasy, druga z gładkiego szarego, ta ostatnia trochę krótsza, z lewego boku podpięta, zmarszczona i przyszyta do stanika. Stanik gładki z kołnierzykiem w pasy, z marszczonym napiersnikiem i rękawkami, częścią z materiału w pasy, częścią z gładkiego zrobionymi. Różnokolorowa wełniana szarfa, związana z lewego boku na kokardę, dopełnia przybrania sukni.



Nr 18. Sukienka dla dziewczynki od 2 do 3 lat. Plecy. (Do ryc. 20).

Nr 19. Suknia z satin-merveilleux i koronki.

Nr 20. Sukienka dla dziewczynki od 2 do 3 lat. Przód. (Do ryc. 18).

Sukienka dla paniąek od 13 do 16 lat.

Rycina Nr 24.

Spódnica 260 cent. szeroka, z niebieskiego kaszmiru, przybrana plisą morową tegoż koloru, 14 cent. szeroką. Stanik fałdowany z przodu i na plecach, z kołnierzykiem i mankietami z mory; morowa szarfa dopełnia przybrania sukni.

Przepisy gospodarskie.

Wyborne gomółki.

Jeden twarózek postawić na dwa dni na słońcu. Odsiać łyżkę kminku z prochów. Twarózek po dwóch dniach rozetrzeć łyżką w donicy, wsypać łyżkę strychnianą soli i łyżkę kminku, dołożyć dwie łyżki śmietany lub łyżkę masła młodego i rozcierać, póki od miski odstawać będzie. Wtedy ręce masłem posmarować i robić podłużne gomółki, które parę dni suszyć na słońcu.

L. C.

Obiad na Niedziele

1. Zupa sliwkowa z grzankami.
2. Makaron z szynką zapiekany.
3. Pieczeń barania z grzybami.
4. Legumina węgierska z sera.

Tablica krojów dołączoną była do Nru 36.



Nr 21. Sukienka dla paniąek od 14 do 16 lat. Przód. (Do ryc. 23).

Nr 22. Sukienka dla paniąki od 15 do 17 lat. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr V, fig. 21 — 26.

Nr 23. Sukienka dla paniąki od 14 do 16 lat. Plecy. (Do ryc. 21).

Nr 24. Sukienka dla paniąki od 13 do 15 lat.